



*Jest profesorem autentyczności poezji wiejskiej! Kto nie próbował wydobywać chleb własnymi rękoma spod skiby nie bardzo zrozumie tego wiejskiego poetę, w wierszach często odnoszącego się do matki ziemi tak patriotycznie*

## jan wanago z ziemi i na ziemi

Moim skromnym zdaniem dobrze się stało, że wysuła no nieco grosza z urzędowej sakiewki, aby wiersze naszego kolegi po piórze Janka Wanago ujrzały światło dzienne zebrane w tomik. Tym bardziej, że wydawca znajduje się w Słupsku, mieście wokół którego nieomal na rzut kamieniem toczy się życie autora przez kilka dziesiątek lat. Nie można tego nie zauważyć. Jego wiersze o tym mówią.

Otóż życie mierzymy latami, wieki pokoleniami. W ten sposób popychając swoje cienie, kierujemy je w przeciwną stronę do naszej pamięci. Świadomość istnienia chwili, tożsamy jej przeżyciem eksploduje niezwykle, niespodziewanie i po ludzku. Przecież świat to już nie miliony, a miliardy dusz podobnych nam, o tak różnych osobowościach. Janek Wanaگو jest jedną z nich, jakże charakterystyczną, zauważaną, na co sam sobie zapracował.

Z opinią Jurka Fryckowskiego zawartą we wstępie do książki wypadaloby się zgodzić. Ufam także, że wiersze wybrał trafnie. Zdaję sobie również sprawę z odpowiedzialności (choćaby przed własnym sumieniem) i wysiłku, aby to wszystko złożyć. Wspaniale, że są osoby, które w ten sposób wyróżniły Janka, uczestnika nieformalnej grupy poetyckiej „Wtorkowe Spotkania Literackie”, zawiązanej i prowadzonej przez Starostwo Powiatowe w Słupsku, aktywnego jej członka od samego początku.

Janek określa siebie słowami: „Środkowo-Pomorsko-Wileński” (wiersz „Moja Ojczyzna”) i pod takim tytułem ukazał się jego tomik. Zresztą, w wierszu pt. „Moja Ojczyzna” zbu-

dował sobie poetycką tożsamość. Znajdujemy ją również w wierszu pt. „Jam międzynarodowy”, a poznając jego życiorys myślę, że bardzo trafnie.

Jak wspominałem, Janek jest jednym z nas, czyli światowcem, co często podkreśla w swoich wierszach. Tytuł książki dobrze to oddaje. A, że ma talent przelewania odczuć na skrawki papieru i dar skutecznego kontaktowania się z czytelnikiem, niezależnie od daty jego narodzin dobrze wiedzą ci, którzy uczestniczyli w spotkaniach z Jego udziałem. Natomiast, jako nieco młodszy wiekiem nieskromnie powiem: Janek pisząc często dosłownie, czytaj pikantnie (w tomiku tego nie zauważamy) pozostaje człowiekiem skromnym, taktownym, koleżeńskim, a używając języka giedy, okresowo w bessie. Są to dzisiaj cechy uznawane jako defensywne, mało przebojowe. Wiemy również i o tym, że ostatnio Janek nie chwali się najlepszym zdrowiem, choć często żartuje ze swoich przynależnych właściwości.



Jeśli nie wszyscy (wielu się nie przyznaje!), to wielu z nas ma rodowód chłopski, ma przodków niepiśmiennych, dziejowo osiagających kaganek wiedzy w różnych odległych okresach. Wiemy też, że Janek nie posiada tytułu profesora. A jednak nim jest. Jest profesorem autentyczności poezji wiejskiej! Satyra, którą uprawia, jak sam gatunek, rozśmiesza, wykpiwa i obśmiewa. Ironii tu nie brakuje. Natomiast wiersze z tomiku wzruszają. Pisane prostym językiem szybko trafiają do serca, mają moc szczerości wyznania, bez komplikowania wywodu. Treść utworów zaświadcza o wrażliwości autora, bystrości obserwacji i braku obojętności na krzywdę, słabości

i niesprawiedliwość doczesną z odniesieniami do wcześniejszych doświadczeń Janka Wanago oraz dalszego i bliższego okresu historii.

Jerzy Fryckowski pisze: „poeta chwalił się komuś, że po jednym spacerze po cmentarzu napisał ponad czterysta epitafiów”. Janek nie tylko to potrafi, ale znajduje we mnie zrozumienie. Mój pierwotny syn puszczony od poręczy podtrzymującej go, kiedy zorientował się, że idzie samodzielnie, biegł przed siebie coraz szybciej, śmiejąc się głośno, tak długo aż upadł. Porównanie niezbyt trafne i może zbyt śmiałe, ale coś w tym jest. Czegoś usilnie pragniemy, a gdy czujemy, że jest to osiągalne, a nawet wspaniale nam idzie, bywa, że zachowujemy się wtedy euforycznie.

Sprawa następną to datowanie wierszy. Moje w tomikach tak właśnie oznakowuję. W tomiku Janka nie wszystkie są opatrzone datą ich powstania. Rodzi to dla mnie pewną trudność w ocenie tzw. poziomu w czasie, tzn. czytając je, trudniej jest wyodrębnić słabsze i lepsze utwory w odniesieniu do okresów ich pisania. Całość zbioru, zresztą jak u wszystkich, zawiera utwory dobre, bardzo dobre i słabsze. Jako przyrodnik i piszący o przyrodzie ciepłej zaznaczę, niż to zauważa Jurek, odniesienia treści wierszy do matki natury. Przecież żurawie (wiersz „Bracia żurawie”) to również nasze rodzime ptaki. Podmiot tutaj utożsamia ptaka - żurawia, porównanie - odniesienie wyjątkowo uprawnione przez Janka Wanago. Otóż ojciec mój, mieszkając jeszcze przed II wojną światową w okolicach Wilna, będąc tutaj mówił: „one (żurawie) przypominają mi okres tamtego przebywania; ten sam odgłos kląngoru o poranku zasnutym jedwabną mgiełką”. Dodam, że nasza rzeka Słupia swoje początki bierze w rezerwacie Żurawie Chrusty! Podobnie wzruszył mnie wiersz pt. „Wiśnie na ustach”. Przywołał moją młodość z rodzinnego sadu, gdzie kwitnące wiśnie całymi kłębami opadały na ramiona. Janek przywołuje ten gatunek bardzo trafnie, wiśnie - kwiaty to niedojrzałość, niewinność, zapewne rozpuszczone włosy dziewczyny, wiśnie - owoce, dojrzałość, spełnienie, przecież była tam pszczołka.

Jan Wanago z ziemi i na ziemi. Zawładać 30-hektarową połacią nie jest łatwo. Kto nie próbował wydobywać chleb własnymi rękoma spod skiby, nie bardzo zrozumie tego wiejskiego poetę, w wierszach często odnoszącego się do matki ziemi



tak patriotycznie. Dla Niego to Mała i Duża Ojczyzna. To ona uczy, wychowuje i żywi. Uczy pokory i piękna. I Janek o tym bardzo dobrze wie, a „...czas płynie w niepamięć, oto raptem zmiana, wszystkie czasy i chwile wspólnie zatrzymane z jakąś wielką siłą, która wszystko może uczynić, wielkie zmiany nawet w jednej porze” (wiersz „Czas płynie w niepamięć”).

Janku Wanago, Tyś to w nas uczynił, czas się w tomik Twoich wierszy zmienił, niepamięć w zapamiętanie, a „...my zawsze z Tobą, my zawsze przy Tobie, i tam gdzie pochylony próchnieje - polski krzyż na grobie!” (wiersz „Moja Ojczyzna”).

**Piotr Wiktor Grygiel**  
*Kolega Wtorkowych Spotkań Literackich*  
*Przy Starostwie Powiatowym w Słupsku*

## o wierszowaniu pana jana



*Pełne prawdy, humoru i autorefleksji utwory Jana Wanagi typem lirycznego bohatera przywołują postać Colas Breugnon Romain Rollanda*

Swą opowieść rozpoczął słowami: „nie sztuka marzyć! Ale napisać to, o czym się marzy! Zresztą, czy to marzenia? Oczy, szeroko otwarte, widzą jasno. Snuje się co prawda, sieć zmarszczek na skroniach, ale spojrzenie mam pogodne,

przekorne. Niech inni gonią za majakami! Ja opowiadam po prostu, com widział, mówił, czynił.”

Kim jest stary stolarz, który opowiada o swym życiu, gdzie obok zabawy i bez troski były niespełnienia i rozczarowania? Receptą na szczęście jest pogoda ducha, a reszta jest sprawą interpretacji sytuacji, ludzi, rzeczy. Sposobem na życie jest dobroduszość, kpina, lekceważenie. Trochę w nim błazna, nieco filozofa. Wewnętrzna harmonia wynika z przeświadczenia, że świat w swojej naturze jest dobry. A dobro trzeba dostrzec, by być dobrym.

Piszę o fikcyjnej postaci z powieści francuskiego noblisty z przekonaniem, że te same słowa opisują „sławneńskiego barda”, Jana Wanago. Ostatni tomik poezji w wyborze Jerzego Frykowskiego, z komentarzem Zbigniewa Babiarza-Zycha, nosi

tytuł „Środkowo-Pomorsko-Wileński”. Motyw etniczny w prosty sposób opisujący zawiłości historyczne, które stały się udziałem chłopca spod Wilna, osiadłego w dorosłym życiu w powiecie słupskim (obecnie sławieńskim), jest obecny w wielu utworach poety z Wrześnicy:

*„Ja pewnie dwulicowiec, mnogi w polityce  
Prócz tego że pomorsko-wileński jeszcze tak doliczę.  
A zresztą bez wyliczeń serce swe otworzę  
Mą Ojczyzną również to Królestwo Boże.”*

Rys etniczny jest dla poety ważny, ale o tyle, o ile pokazuje dystans do miejsc zamieszkania, prawdziwa ojczyzna jest bowiem kwestią wyboru systemu wartości, świadomości kulturowej, religijnej, środowiskowej. Znajdziemy w proponowanym tomie wiersze patriotyczne, ale o rzeczywistej tożsamości obywatelskiej decyduje aktywne, niemal publicystyczne reagowanie pisarza na bieżące zdarzenia. Nostalgia za Kresami jako odrębny motyw pojawia się w wierszach „Bracia żurawie”, „Do braci wilnian”, „Dwie moje matki” i innych. Jan Wanago ma wyraźny koloryt wileński, wyrażający się typem humoru i niespodziankami językowymi, ale nic w nim ze wschodniej ornamentyki i zawiłości stylu. To typowy kresowiak o otwartym sercu, wyrosły z chłopskiego pnia europejskiej kultury chrześcijańskiej. Opisując chłopski nurt literatury ludowej, S. Pigoń wskazał najtrafniejsze kryteria pozwalające rozpoznać piśmiennictwo stanu chłopskiego: typ kultury, osobowość oraz specyficzną mentalność „kodeks społeczno-etyczny człowieka pracującego na roli”, światopogląd ukształtowany wartościami religijnymi i bezpośredni związek pisarza ze środowiskiem wiejskim. Również Stanisław Pigoń nigdy nie odżegnywał się od chłopskich korzeni i ze znajomością rzeczy pisał: „U każdego rzetelnego chłopca, jeśli głębiej poskrobać, można zawsze natrafić na złoże tradycjonalistyczne. [...] Chłop przywiązany - przecież nie tylko fizycznie, ale i serdecznie - do swej dziedzicznej pracy rozumie, że ciągłość wysiłku uparta i konsekwentna jest mu pierwszym przykazaniem.[...] Z pokolenia na pokolenie przechodząca praca na roli urybia ten typ psychiki, który w roztropnej ciągłości, w mądrym wyzyskiwaniu doświadczeń przodków i swych własnych, w rozważaniu i statku widzi najważniejszy sposób postępowania tam, gdzie chodzi czy to o gospodarkę na ojcowiznie, czy o wielkie dziedzictwo Ojczyzny. (S. Pigoń: „Z Komborni w świat”).

Właśnie wśród wierszy Jana Wanago znajdziemy dowody troski i o ojcowiznę, i o ojczyznę, a obie wymagają serdecznej pracy. I choć twórczość wiejskiego poety, jak mówi o sobie, cechują swobodny język i skrótowość ujęcia tematu, to o sprawach najpoważniejszych potrafi mówić ze swadą i humorem, jak chociażby we fraszce o parlamencie czy chłopskiej doli. Etos pracy to wartość pierwszorzędna w kodeksie moralnym autora „Modlitw”, świadka przemian ustrojowych, który często z publicystycznym temperamentem reagował na bieżące wydarzenia polityczne.

*Od pracy się nie chowaj, ona tego nie znosi  
Bo jaka by nie była, honor ci przynosi.  
Praca żadna nie hańbi, choć się w mozołe rodzi  
Zaś lenistwo na odwrót, w żołądek Cię bodzie.  
(...)  
Ale mimo wszystko twarda chłopska dusza,  
Nie zniszczy nas powódź ani żadna susza,  
Tak było, jest i będzie, jak pamięć sięga wiekiem.  
(...)*

Wyboru i układu utworów w tomiku wydanym przez Starostwo Powiatowe w Słupsku dokonał Jerzy Frykowski, ale tematy wierszy i ich ujęcie należą bezspornie do Jana Wa-

nago. Poeta najchętniej posługuje się lapidarną formą fraszki z humorystyczną pointą. Wypowiedź zawsze nakierowana jest na odbiorcę, którego ma zaskoczyć nieoczekiwanym skojarzeniem, jak te o urodzie poczęcia czy nieuchronnej, acz nieoczekiwanej śmierci:

*„Najstraszniejszy huk  
jak nad tobą w deskę stuk, stuk.”*

Między granicami życia rozgrywa się codzienność na słupskiej ziemi, wśród bliskich, którym poświęca poeta serdeczne słowa, zawsze w pokorze wobec Boga lub w przekornym wadzeniu się z Nim. Liryczna kronika wypadków rodzinnych obejmuje dziecięcą modlitwę, żal po stracie ojca wyrażony trenami, miłość do żony, troskę i dumę z udanych dzieci. Zwykle codzienność życia z niezwykłym życiorysem, w którym doświadczenie z więzienia zaowocowało najwartościowszymi lirycznie utworami o samotności, tęsknocie i miłości. Przymusowe odosobnienie to także czas lektur, których świadectwo znajdziemy, choćby w hymnie „Smutno mi, Boże”, podobnie jak u Słowackiego pisanego sekstyną.

Wiersze Jana Wanago opowiadają o doświadczeniach, przemyśleniach, przeżyciach człowieka, który z pasją obserwował świat bliski i daleki, reagował z ciekawością na zmieniającą się rzeczywistość, ale pozostawał wierny tradycyjnym wartościom, gdzie Bóg, dom, rodzina, praca i ojczyzna wyznaczały porządek świata. W granicach chłopskiego widzenia świata dostrzegał grzeszki własne i cudze, potrafił pisać o nich z ciepłym humorem, wierząc, że uroda życia wynika także z ludzkich słabości.

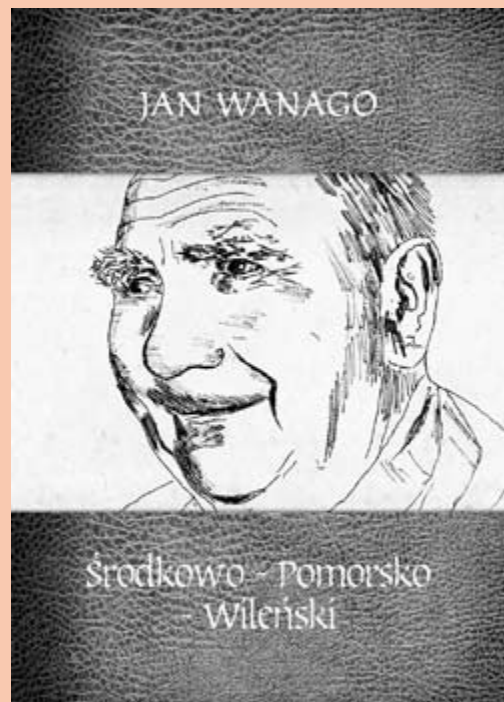
Utwory Jana Wanago to również dokument chłopskiej percepcji zmian, jakie niósł czas: loty w kosmos, przemiany ustrojowe, zmiany układów politycznych i wojskowych, wreszcie zmiany narzędzi pracy:

*Minął traktor wółu, co leniwie kroczył  
Zatrąbił, zakopcił i wprzód się potoczył  
Za godzinę lub dalej spotykam go znowu  
Jak go rozkręcają z boku koło rowu  
Pytam, co się stało, on mówi: „nawalił.”*

Mój wół postał, nawalił, „Wio” pojechał dalej. Zmienił się świat, odchodzą do lamusa dawne niewzruszone zasady: prosta, pokorna religijność, trwałość małżeństwa, odpowiedzialność za rodzinę, chłopski honor, akceptacja przemijania. Do wierszy Wanagi jak do źródła warto sięgać po proste prawdy podane z humorem, bez pouczania i moralizowania. Potrzebne nam takie utwory, które są jak kotwice, by w pędzie ku nowemu nie zgubić skarbów przeszłości, nie zaprzepaścić urody życia wynikającej z przystawionego chłopskiego rozumu.

**Czesława Długoszek, Objazda**

*Jan Wanago: Pomorsko-Środkowo-Wileński, Starostwo Powiatowe, Słupsk.2010.*



# XVIII międzynarodowe spotkania poetyckie „maj nad wilią”



*Już po raz kolejny spotkał mnie zaszczyt goszczenia na Maju nad Wilią. Oczywiście jest to zaszczyt, skoro na imprezę zaprasza się 30 poetów polskojęzycznych z całego świata i jest się jedynym zaproszonym z całego Pomorza*

Trochę inaczej wygląda to z perspektywy „rózowego paska”, jaki otrzymujemy ze stanem naszych zarobków na koniec miesiąca. Aby wziąć udział w imprezie musiałem napisać o urlopowaniu. Niestety. Reprezentowanie swojej gminy czy szkoły na tej światowej imprezie nic nie znaczy wobec przychylności przełożonych. Okazuje się, że mój pobyt w Wilnie nie jest ważny, nie jest istotne to, że tomik z wierszami o Dębnicy dotarł na Litwę, do Niemiec, Francji, Szwecji, Białorusi. Pewnie dlatego udzielono mi urlopu bezpłatnego, co skutkuje obniżeniem mojej pensji o 700 zł za cztery dni pobytu w Wilnie.

Nie jestem materialistą, przywożem o wiele więcej. Oto przebieg imprezy. Spotkanie podobnie jak zeszłego roku zaczęło się w kościele Franciszkanów mszą w języku polskim. Minął rok, a tak niewiele zmieniło się w kościele. Można by pomyśleć, że mamy rok 1945, a nie koniec pierwszej dekady XXI wieku. O tym, z jakimi problemami boryka się proboszcz, niech świadczy intencja modlitwy. Modliliśmy się za litewski parlament, który miał podjąć decyzję w sprawie odprowadzania deszczówki z remontowanego kościoła. A tam potrzeba milionów, by kościół odzyskał swoją świetność. Po mszy poeci zaprezentowali się swoimi wierszami.

Kolejnym punktem imprezy było otwarcie w „Galerii polskiej” wystawy prac malarskich Jerzego Puciaty z Bydgoszczy. To kolejny dowód na współpracę polsko-litewską na niwie sztuki. Wspólne plenery, wystawy, o których tak mało mówi się w mediach.

Pierwszy dzień miał zakończyć recital Romana Kołakowskiego w Domu Polskim. Niestety, artysta musiał stanąć w obronie swoich dóbr przed powodzią. Pamiętam, jakim przeżyciem było słuchanie winylowej jeszcze płyty „Przypowieść błękitna” wydanej w 1985 roku. Tylko raz miałem okazję spotkać Romana Kołakowskiego na jakimś konkursie we Wrocławiu w rocznicę stanu wojennego. Wielka szkoda, że siły przyrody zwyciężyły z wolnością artysty. Zamiast recitalu zaprezentowali się miejscowi poeci i zaproszeni goście, następnie uroczysta kolacja w Domu Polskim i nocny spacer ulicami Wilna do hotelu Centrum, gdzie byliśmy zakwaterowani.

Poniedziałek. Tradycyjnie rozpoczęcie imprezy pod pomnikiem Adama Mickiewicza. Obok urokliwy kościół św. Anny. Złożenie kwiatów pod pomnikiem wieszczka, liczne fotografie, z których najlepsza pewnie posłuży do przyszłorocznego plakatu, podobnie jak to jest teraz. Razi mnie badziewiacki baner przywieziony z USA przez Adama Lizakowskiego informujący o 30. rocznicy debiutu. Psuje klimat. U stóp Adasia wszyscy jesteśmy równi, bo dorastamy tylko stóp, a tu taki Lizakowski ze swoją „zieleniną”. Jest też młodziak z polskiego gimnazjum. Przenosimy się na dziedziniec muzeum im. Adama Mickiewicza, tu kolejna prezentacja wierszy, później

zwiedzanie muzeum. Autentyczny jest stół, przy którym Mistrz pisał „Grażynę”, Jego ulubiony fotel, pierwsze wydanie „Ballad i romansów”, wspomnianej „Grażyny”, a także belkowy sufit w dwóch pomieszczeniach, bo w trzecim jest replika (oryginał sponął). Te trzy małe pomieszczenia wynajmował Mickiewicz w grudniu 1822 roku.

Drugą część dnia wypełniła nam dyskusja „Grunwald znaczy Żalgiris”. Odbędzie się ona w Pałacu Paców, obecnie w ambasadzie RP, gdzie wszyscy uczestnicy imprezy otrzymali album „440 lat Unii polsko-litewskiej”. Romuald Mieczkowski wyraził nadzieję, że Polakom nazwa „Żalgiris” nie będzie się tylko kojarzyła z drużyną koszykówki z Kowna. Ja ze swojej strony mogę dodać, że Litwini tą samą nazwą ochrztili swój najdroższy alkohol, mający 75 procent. A pół litra kosztuje w obecnym kursie około 150 zł.

W dyskusji brali udział Polacy, Litwini i Białorusini. Wniosek wysnuwał się jeden. Kiedy byliśmy razem, byliśmy potęgą. Stworzyliśmy nie tylko podwaliny wspólnej Europy, na którą obecnie powołuje się Unia (a robił to także Jan Paweł II), ale byliśmy także przykładem tolerancji dla reszty świata. Ta wielokulturowość stworzyła piękno Wilna, a państwo mogło patrzeć z góry na sąsiednie cesarstwo. Od kiedy jesteśmy osobnymi organizmami (zwalczającymi się, nawet chociażby poprzez pisownię nazwisk) od prawie trzystu lat musimy klękać przed białym niedźwiedziem.

Oczywiście toczą się dyskusje na rządowych poziomach, ale tak naprawdę wszystko jest na poziomie najniższym, wśród sąsiadującymi ze sobą Polakami i Litwinami. Świętej pamięci Lech Kaczyński, chociaż tak wiele razy odwiedzał Litwę, nie wywalczył zmiany pisowni naszych nazwisk ani zwrotu majątku dla Polaków. Obecny rząd także przyczynił się do haniebnej likwidacji Celi Konrada i zamiany jej na „chlewik” - jak mówią miejscowi Polacy.

Zwykli obywatele nie czują do siebie nienawiści, paradoksalnie jest ona podsycana przez czynniki oficjalne. Byłem na Litwie wiele razy i znam status majątkowy obywatelki tego państwa. U nas nauczyciel nie zarabia dużo, ale trzy razy więcej od nauczyciela litewskiego, dlatego wzruszyła mnie akcja wilnian, którzy pod kościołami zbierali datki na rzecz powodźnian w Polsce. My jesteśmy nadal razem. I chyba obie strony doskonale zdają sobie sprawę, że tylko razem stanowią siłę.

A tak na marginesie tej dyskusji, Grunwald znaczy Żalgiris. Dlaczego my, Polacy umiemy świętować tylko na smutno? Dlaczego w Polsce jest tylko jeden pomnik grunwaldzki? Drugi okazały pomnik Jagiełły jest w Nowym Jorku w Central Parku. To efekt wystawy światowej i pomnik miał wrócić do Polski, ale przeszkodziła temu II wojna światowa. Czym się jeszcze możemy pochwalić? Na 500-lecie Unii polsko-litewskiej powstał w 1886 roku pomnik Jagiełły i Jadwigi w Krakowie projektu Karola Knausa wykonany przez Oskara Sosnowskie-



go. Pięćsetlecie zwycięstwa pod Grunwaldem zaowocowało pomnikami w Dynowie, Błażowej, Zakopanem (1911), Stalowej Woli (na cmentarzu parafialnym przy ulicy Klasztornej - obecnie obelisk upomina się o odnowienie), Jaśle (na Górcie Klasztornej), Husowie koło Łańcuta. To tyle z mojej wiedzy, może są jeszcze inne, ale to pokazuje, że łatwiej było zbudować pomnik Grunwaldu pod zaborami niż w wolnej Polsce.

Odnowienie Pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie (także tych wcześniej wymienionych) czy 50 lat temu odświeżenie pomnika na polach Grunwaldu to jedyne dokonania na tym polu. Ponoć w Warszawie powstał jakiś komitet budowy pomnika na 600-lecie. Najwyższy czas. Może wreszcie zaczniemy cieszyć się Grunwaldem, 11 listopada, Cudem nad Wisłą. Pora, byśmy w te rocznice świętowali, paradowali ubrani uroczyście, świętowali jak normalni ludzie tańcem i biesiadą. A co my robimy? Świętujemy wybuch II wojny światowej, jakby to ona przyniosła nam niepodległość, a nie zniewolenie. Czy Amerykanie tak samo świętują atak na Pearl Harbor, a Rosjanie napisać na Związek Radziecki?

Nauczmy się wreszcie cieszyć ze swoich zwycięstw i sukcesów. 11 listopada, 3 maja, 8 maja to powinny być najra-



dońsze święta w naszych kalendarzach. 1 27 grudnia. I tu jestem ciekaw, kto wie, dlaczego? Podejrzewam, że niewielu. To data wybuchu Powstania Wielkopolskiego. Jedyne zwycięskie. Czy świętowaliśmy to kiedykolwiek?...

Nie, Polacy lubią pomniki upodlenia i klęski. Już szykują się pomniki katastrofy smoleńskiej. Przecież to takie łatwe i proste, to przecież wina Ruskich i ich genialnych magnesów, które ściągnęły nasz samolot na ziemię. A my po prostu jesteśmy narodem, który walczy nie tylko o niepodległość, ale sama chęć złożenia hołdu pomordowanym kończy się dla nas tragicznie. Proszę, odwróćmy fatum. Mija 600 lat od Grunwaldu. Miesiąc później 90. rocznica Cudu nad Wisłą. Pokażmy, że jesteśmy zwycięscy i radośni. Poległych uczcimy 1 września i 1 listopada, także w wigilię.

To taka rocznicowa dygresja...

Po dyskusji szwedzki stół w polskiej ambasadzie na terenie Litwy. Dyskusje, nowe znajomości, kolejny spacer ulicami Wilna.

Dzień trzeci to największa atrakcja, na którą zawsze czekają uczestnicy imprezy. Wyjazd w teren. Za każdym razem jest to inne miejsce, więc atrakcja jest zrozumiała. Tym razem był to wyjazd do pierwszej stolicy Litwy, Kiernowa, gdzie

oglądaliśmy pomnik Witolda i żelaznego wilka. Kurhany były świadectwem niezwykłości tego miejsca.

Mnie urzekła wizyta w szkole w Suderwie. Uczniów 90, a na scenie 50, czyli większość to artyści. Tu mały kamyczek do ogródka naszej oświaty. W tej szkole pracuje dwudziestu nauczycieli, u nas pewnie połowa byłaby do odstrzału. No, ale to 10-latką. Dzieci wzruszały recytacją po polsku, regionalnymi tańcami. Gdyby to ode mnie zależało, zaprosiłbym wszystkich do Polski. Niesamowite przeżycia. Większość poetów zostawiła w szkole swoje książki.

Na poczęstunek niespodzianka. Kibiny. Takie, jakie możemy dostać w Trokach. Dzień kończy majówka w Duksztach Pijarskich. Witają nas śpiewem lokalni artyści, częstują miejscowymi specjami, dobrym piwem, wódką stumbras. Pogoda coraz gorsza, na szczęście mamy namioty, gdzie można się ukryć na czas posiłku. Płonie ognisko, śpiewamy razem, ale natura zwycięża. Wieje coraz mocniej i pada. Z żalem wracamy do hotelu. W pamięci pozostaje szkoła w Suderwie i jeden z trzech na świecie zbudowany w stylu klasycystycznym okrągłych kościołów. Drugi z nich to paryski panteon, trzeciego już nie pamiętam.

Gmina Suderwa ma mniej mieszkańców niż sama Dębica Kaszubska, bo około 2400. Mam nadzieję kiedyś tam powrócić. Dzień kończą długie rozmowy w hotelu, dyskusje i kolejne czytanie wierszy, już na zasadzie koncertu życzeń.

Dzień czwarty. Tradycyjne spotkanie w Związku Pisarzy Litwy. Na zebranych duże wrażenie robią szczotki rozdzielone poetów z Wilna, jakie ukażą się w antologii starostwa. I nie przeszkadza to, że zdjęcia z powodu awarii drukarki są tylko czarno-białe. Poeci z zaciekawieniem oglądają, jakie ich wiersze się ukażą. Wiceprezes ZPL Birute Jonuskaite pokazuje nam czasopisma literackie, jakie ukazują się na Litwie, a także książkowe dowody współpracy polsko-litewskiej. Po raz kolejny okazuje się, że najważniejsze są więzi międzyludzkie, a nie układy parlamentarne.

Potem idziemy na Cmentarz Bernardyński, który właśnie obchodzi 200 lat istnienia. Przewodniczka dopiero drugi raz w życiu oprowadza polską wycieczkę. Wyręcza ją Wojciech Piotrowicz. Dowiadujemy się, dlaczego słynniejsza jest Rossa. Jednak dla przykładu to tu leży rogacz Kowalski, któremu uwiódł żonę Mickiewicz. Pani Kowalskiej śladu nie ma, a jej męża jest i to okazały. Artyści minionych epok, profesoria uniwersytetu. Kolejny obiekt, który oczekuje finansowego wsparcia, nie tylko władz litewskich.

Około godziny 17-ej czytanie wierszy w unickiej cerkwi św. Trójcy. Kiedyś to był klasztor Bazylianów. Kilkanaście metrów od nas celi Konrada. Pozostała oryginalna tablica, miejsce celi zaczyna się wymykać spod oka badaczy. Coraz więcej wersji, a działania polskich władz nie pomagają prawdzie. Robię to czwarty raz i za każdym razem to samo przeżycie. Kilkadziesiąt metrów stąd był więziony Mickiewicz, w wigilię wywożono na Sybir, wieszcz został, w jego głowie rodziły się „Dziady”.

I finał imprezy. Galeria Polska. Jak zwykle zabiegana i dbająca o wszystko i wszystkich Wandzia Mieczkowska. Gwiazdą wieczoru jest Luba Nazarenko, mistrzyni rosyjskiego romansu, ale także niezrównana w polskich piosenkach wileńskich. Gościła także w Słupsku. Rzadko śpiewam, tego wieczoru się zdarzyło, że i mnie poniosła wokalnie ułańska fantazja. To był także Dzień Matki. Luba zaśpiewała pieśń o matce. Kilka osób odwróciło głowy, zaszklili się oczy, niejedna łza uderzyła o podłogę. Zrobiło się wileńsko. W dole sto metrów od nas szumiła Wilejka, nad nią na moście setki klódek zamkniętych na wieczność strzegło uczuć zakochanych. Takie jest Wilno w maju. Ciepłe, majowe, sentymentalne po polsku.

*Jerzy Fryckowski, Dębica Kaszubska*

# *kosmos jego mały*

## *- anatoliusz jureń (1927-1978)*



*Urodził się w Wilnie, tam podjął naukę w szkole średniej, a potem - w czasie wojny - pracę w charakterze robotnika miejscowej huty szkła i cichą albo wręcz konspiracyjną (tak, tak) działalność w szeregach Związku Patriotów Polskich. Jego całe dojrzałe życie związane jest ze Słupskiem, w którym mieszkał i tworzył od pierwszych dni po powrocie grodu księcia Każki do Macierzy*

Startuje jako poeta w roku 1947 w „Miesięczniku Ludowym”. Rok później publikuje w „Kurierze Szczecińskim” cykl wierszy pt. „Szkice słupskie”. W tym samym mniej więcej okresie próbuje swych sił twórczych na łamach „Głosu Koszalińskiego” oraz warszawskich, gdańskich, poznańskich i szczecińskich pism społeczno-literackich.

W 1953 zostaje laureatem jednej ze stołecznych (ogólnopolskich) gazet za poemat „Matce Koreanki Li”. Jego poezje drukuje Wydawnictwo Poznańskie w „Morskim naszyjniku” (1960) i „Próbie liryki” (1961). W 1960 roku inkasuje I i II nagrodę w konkursie Wydziału Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej i Zarządu Wojewódzkiego ZMS w Koszalinie. W 1964 znów sięga po najwyższy laur poetycki w dorocznym konkursie literackim Ziemi Koszalińskiej.

Pisarstwo jest główną, ale nie jedyną jego pasją życiową. Od roku 1955 bierze czynny udział w pracy społecznej na rzecz środowiska. Sekretarzuje w Zarządzie Powiatowym ZNP. Organizuje grupę twórczą „Meduza”. Pełni kierownicze funkcje w utworzonym trochę wcześniej w Koszalinie Klubie Literackim ZLP. Zasiada w składzie Zarządu Oddziału Związku Literatów. Przez kilka kolejnych kadencji dzierży mandat radnego MRN w Słupsku.



Z największym wzruszeniem wspomina epizod spod znaku „Meduzy”. Miasto nad Słupią po raz pierwszy zostało wtedy zauważone na mapie kulturalnej Polski. W programie I Zjazdu Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych stwierdzono: „W obradach uczestniczyć będą literaci z Wrocławia, Opola, Szczecina, Zielonej Góry, Słupska, Koszalina...”

Piekielnie ich to zobowiązy-

wało. Wiedzieli - Marta Aluchna-Emelianow, Zbigniew Kiwka-Lambardo i on, Anatoliusz Jureń - że daleko im jeszcze do pełnej sprawności warsztatowej. Jedyne J.T. Dybowski legitymował się wówczas w Koszalińskim bardziej znaczącymi dokonaniem. Reszta, podobnie jak pionierska trójka słupszczyzan, zaczynała dopiero stawać w pisarskie szranki, początkowo wtedy - przed dwudziestu laty - w poezji i prozie. „Meduzowcy” dysponowali jednak poważnym atutem: mieli w swojej gestii - jak zwykło się mawiać wśród sympatyków - więcej piór, niż indywidualnych talentów...

Talent Jurenia dojrzewał przez kilkanaście lat. Najpierw odcisnęły na nim swe piętno wspominki z okresu wczesnej

młodości („W sprawie łopianu”), potem reminiscencje II wojny światowej („Wrzesień”, „Hiroszima”, „Grisza” - wiersz o radzieckim żołnierzu, którego grób odnalazł autor w Lasku Północnym w Słupsku) i dramatyczne napięcie z przetoku lat czterdziestych i pięćdziesiątych („Matce Koreanki Li”), wreszcie: urok środkowopomorskiego krajobrazu i napotkanych tu ludzi („Szkice słupskie”).

Jest w tych wierszach, z których większość pomieścił autor w pierwszym swoim tomiku poetyckim („W sprawie łopianu”, Wydawnictwo Poznańskie, 1963), sporo tradycyjnego sentymentalizmu, nastrojonego miejscami na pesymistyczną nutę. Prosta konsekwencja faktu, że Jureń zawsze traktował życie w kategoriach emocjonalnych, a jednocześnie - jak Anteusz - starał się nie odstępować ani na krok Ziemi, człowieka i spraw - wielkich i drobnych, przyjemnych i smutnych - które składają się na kształt ludzkiej egzystencji.

W kolejnym zbiorze („Kwiaty zmieniają głowy”, Wyd. Pozn. 1967) poeta, nadal wierny wspomnianej wyżej dewizie, zmienia sposób wypowiedzi. Od treści z łatwością dających się zobiektywizować, przepelnionych prostym emocjonalizmem, naznaczonych wyjątkową komunikatywnością, ewoluje w kierunku najintymniejszych doznań i przeżyć, których dominantę stanowi przejmująca samotność, wyrażona w zupełnie odmiennej formie: bardziej hermetycznej, trudnej, nowoczesnej, wyrafinowanej intelektualnie.

W wierszu „Sam” powie o owym miniświecie:

*... Kosmos mój mały. Ikony ognisk  
Pień twarzy, bursztyn żywicy -  
Więc rzeźbiłem ślady i nog \*

Mały, własny świat - jego i tych, z którymi dzieli swe wzruszenia poetyckie. Dojrzałszy. Wzbogacony o nowy walor wrażliwości: smak samotni. Bez programowych manifestów, ale głoszący także pochwałę życia i człowieczeństwa.

**Jerzy R. Lissowski, Słupsk**

*Post scriptum: Z zawodu nauczyciel (absolwent słupskiego Liceum Pedagogicznego). Do chwili śmierci związany ze Stowarzyszeniem PAX. Prócz poezji parat się - niemniej znacząco - publicystyką, prezentując swoje utwory literackie w z górą trzydziestu czasopismach („Życie Literackie”, „Tygodnik Powszechny”, „Orka”, „Dziś i jutro”, „Kierunki”, „Słowo Powszechne” i in.) oraz w antologiach i na antenie radiowej. Za osiągnięcia w przywołanych dziedzinach (także społecz-*

nikowskiej) już w roku 1958 WRN uhonorowała go Nagrodą Kulturalną I stopnia.

Z inicjatywy i wspólnym sumptem KTSK i SSK „Pobrzeże” w 1982 ukazało się jedyne pośmiertne wydawnictwo książkowe

Jurenia - zbiór pt. „Wiersze”. To wszelako trochę inna publikacja niż odnotowany w mojej rozmowie dla szkiców „Profile” (1977) trzeci tomik poezji, by ani słowem nie napomykać o pierwszym dramacie ze Słowackim „w tle”. Ano, tempus fugit... (JRL)

Anatoliusz Jureń (1927-1978)

O RÓWIEŚNIKACH (fragment)

Dotyczy: wiersza  
Dotyczy: człowieka

W czterdziestym czwartym w Warszawie

Rówieśnicy moi  
Rzucali butelki z benzyną  
Nosili kule chleb i wodę  
Umierali cicho  
Ściskając szczęki  
Umierali umierali -

Przyjaciele  
Czyż nie łatwiej krzyknąć że się umiera  
Nie umierając  
Czyż nie łatwiej  
Grudkę ziemi rzucić przydeptać:  
„Niepotrzebna śmierć” -

Moi rówieśnicy nosili kule chleb i wodę

Z medalikami bez medalików.  
Przykładali krwawiące piersi  
Jak tampony  
Do tętnic miasta -

STAFF

Krzyczą  
Bzów wyciągnięte ręce  
Napęczniałe pękają tętnice  
Płacze mały poeta słowik

Pora  
Furtkę w ogrodzie słońca  
Czarodziejskim kluczem otworzyć  
Ze słowikami gawędzić  
Dłonie bzów przyjacielsko potrząsać -

Ach  
Któż - gdy odszedłeś  
Przewodnikiem będzie wiosennym  
Uśmiechniętym dziadkiem z kluczami  
Który kocha robaczki i ptaki

Ze mną jesteś  
Zostałeś  
widzę: po rosie brodzisz  
Jak Święty Piotr od Poezji  
Dobry poeta pogody

Leopoldzie

TRZECI WIERSZ DO KONWALII

Całogałczyńska Matko Brechta  
Są sznurowadła żył.. I butów.

Całogałczyńska. Konwaliowa.  
Rzucasz butami. Głosisz wiersze -

Całogałczyńska zapiaszczona  
(Budzi cię ze snu łomot do drzwi)

...jest skalpel. Przetnij sznur czerwcowy  
Podaj mi maki -  
...czy idziesz do mnie z Nieborowa  
...theatrum wielkie.  
Pełnaś Polski -

# pamiętnik z maską

Nie pamiętam, czy Ci o tym mówiłam kiedykolwiek, jaka jest w ogóle idea pisania pamiętnika / dziennika. Zatem nie jest to potrzeba zapisania czegoś, żeby utwalić chwilę, żeby coś zachować od zapomnienia. Piszący swój pamiętnik człowiek ma to równie głęboko gdzieś, jak i ty, czy zapamięta, czy też zapomni, że na przykład 15 lutego 2010 był w Tesco, a potem gdzieś poszedł, ktoś zadzwonił.

Człowiek piszący pamiętnik pisze, ponieważ chce z kimś porozmawiać. Z kimś na serio. Z kimś absolutnie szczerze. W żadnym pamiętniku nie znajdziesz fałszu.

Pod pewnym względem można podzielić ludzi na ekstrawertyków i introwertyków. Ci pierwsi czują silną potrzebę uzewnętrznienia każdych swoich myśli, emocji. Nie tylko tych ważnych, ale również drobnych, codziennych.

Absolutna, nieskończona szczerść w kulturze, w cywilizacjach nie zawsze jest możliwa do przyjęcia. Pragnienie podzielenia się z kimś czymś (sic!) jest jednak ogromnie silne dla ekstrawertyka. Spotkanie człowieka, który jest w stanie przeboleć, gdy pozna Cię na sto procent, jest niemal niemożliwe. Nikt nie jest na tyle tolerancyjny, żeby zniósł całą prawdę o drugim człowieku. Więc nawet wśród najbliższych nie zdejmujemy masek. Maski mamy z zanadru różne. Dla tych najbliższych osób za-

kładamy najcieńsze. Jednak bez maski nie jesteśmy prawie nigdy. Niektórzy zasypiają w niej, czyli nawet przed sobą nie pokazują się bez maski, czyli oszukują się sami przed sobą i nie wiedzą o tym, bo skąd mogą wiedzieć, jeśli maskę znają od zawsze.

Są jednak tacy ludzie, jako że reguła hartuje się w wyjątkach, którzy mają świadomość masek i własnej maski. I zdejmują swoją maskę na noc. I czują silną potrzebę porozmawiania z kimś bez maski. Mają też ogromną świadomość, iż zaakceptowanie ich bez maski jest niemal niemożliwe. Marzą więc o spotkaniu człowieka, który temu sprostą, lecz wiedzą, że szanse na to są bliskie zeru.

Po drugiej stronie lustra jest kartka i pióro. Tam jest Twój wykreowany odbiorca, którego się nie wstydzisz. Który zawsze Cię rozumie. Któremu będziesz znużać o codziennych drobiazgach. - On nie będzie ziewał. Potrzeba uzewnętrznienia czegokolwiek: wszystkiego lub niczego ma swoje ujście i odczuwasz spokój.

Jaki Twój udział w tej opowieści?

Powiedziałam, że odkąd Cię poznałam, nie piszę tak dużo... Czy to oznacza, że ja przy Tobie jestem bez maski? A teraz zadzwonił, bo zwariuję!

Ilona Lipska, Belfast

Pisanie listów do Ciebie ostatnio zastępuje mi pamiętnik. W ogóle zauważyłam, że odkąd Cię znam, znacznie mniej piszę w pamiętniku. Wydaje mi się, że to dlatego, iż wszystko, co na co dzień ważne, a co muszę z siebie wyrzucić, mówię Tobie i nie czuję już potrzeby, żeby o tym pisać



# wiersze najnowsze

Elżbieta Tylenda, Dartowo

## ODWROTY

zostałaś za plecami twój obraz traci ostrość  
patrzę w kierunku Chonamara  
po drodze łąki i wrzosowiska a ze mną  
smak gorzko - słony twojej lekcji polskiego  
którą odrobiłam posłusznie  
dziękuję ci za nią z moim alter ego

już nie obca chociaż nigdy swoja wyciszam  
zacieram pamięć dziękuję za piwo z chlebem

wdzięczna za godną pracę i tani dach nad głową  
kłaniam się tobie nisko Irlandio - macocho

noc okrywa peleryną nasze ciche pacierze  
zeszły z wierszami i otwarte powieki  
rano zakreślamy daty w kalendarzu  
a wieczorem w pubie zawracamy morze  
śpiewamy po polsku

Anna Maria Różańska, Londyn

## PRZECIWNOCI LOSU

kraty bariery mury epidemia cholery  
pokusy i burze kanałowe szczyry  
podatek liniowy wypadki drogowe  
ludzkie plotki pusta kieszeń brak odwagi  
tyle przeszkód  
by bramy rajy otworzyć i nie spaść z nich  
z hukiem na ziemię  
naiwności pęta trzymają uparcie  
jak balans na linie która nie ma końca  
powodzenia więc życzę światelka w tunelu  
o ileż łatwiej byłoby nam bez serca

Agnieszka Klekociuk, Możdżanowo

\*\*\*

Nastał dzień, w którym polskie flagi na  
masztach na baczność ustawiły się w szeregu.  
Przepasane wstęgą, jak łzami o zwęglonej  
barwie.

W naszych sercach czuć tylko zapach ciał  
z których uszło życie.

Ta najważniejsza, naznaczona naszą  
kwią ojczyzna  
wydobywa z siebie tylko psalmy pożegnalne.  
Wśród zasłużonych, na polskim Wawelu  
spoczywać będą nasze ojczyste ciała.  
Żaloba w naszych sercach długo będzie żyła.  
Ta chwila na wieczność wyryta w naszych  
sercach.

A tam...

A tam w miejscu gdzie odeszli  
zapalmy znicze...  
ognie wiary i nadziei  
w naszą Polskę.

Edyta Wilga-Mielewczyk, Główny

\*\*\*

Dotykem wiatru  
unieść się marzeniom  
W czerwieni słońca  
usłyszeć - myśli...

Co - mówisz?

Szeptem ułożyć  
do snu!

Miękkim podłożem  
chwytać nienawiść...  
Białą łódką - popłynąć  
Tańczyły drzewa  
ptaki mówiły  
Świat zamknięty!

Jan Kulasza, Strzelce Krajeńskie

\*\*\*

słowa zabija wiatr  
czas wspomnień jest wysoki,  
kukułka na drzewie  
wykukała lata  
huk żelaznych ptaków  
zgrzyt zębów panter i tygrysów.  
Słońce wschodzi i zachodzi,  
nadzieja błąka się  
po bagnach  
zanurzając się coraz bardziej  
w topiel  
w lesie pohukuje sowa.  
Śpij dzieci  
twój tatuś jest w domu  
mamusia też.  
Nie usłyszysz podkutych butów  
żołdaków.

Zimny wiatr  
chłodzi te wspomnienia  
i tylko one czekają  
na swe wezwanie.

Marcin Greczuk, Widzino

## PRZEZ PRYZMAT

w perspektywie mojej śmierci  
nieuniknionej

jak każda  
niczym jest  
także plotka  
zwłaszcza plotka

twoja złośliwość i zawiść  
spojrzenie czyjeś wścibskie  
rozwiązywanie  
mnie zagadki  
czas na kłótnie głupie  
są niczym

nie jestem rebusem

walczę tylko  
o radość  
cieszę się  
gdy zapominam  
o wadze zdarzeń  
i prawdzie chwil

i lekkomyślnie  
śmiechem perlistym  
lekce sobie ważę  
życie  
w perspektywie  
.....

Emilia Zimnicka, Izbica

## LECĄCYM MEWOM

Lecącym mewom na spotkanie  
Wyszły jeziora brzegi dwa  
Jeden piaszczysty, pozłocisty  
Drugi co trzcina, rokiną  
Uśpionej wiosce pieśni gra  
Lecą znów mewy roztańczone  
Nad morską tonią  
W huk i szum  
Jak ludzkie serca rozmodlone  
Które do nieba wlecieć chcą  
Zamigotały skrzydła białe  
Wiosce co w lasach, cicho śpi  
Ludziom przyniosą sny wspaniałe  
Na diamentowej chuście mgły.

Maciej Michalski, Słupsk

## DIAMENT

Czy z nas tylko popiół zostanie i zamęt...?  
C. K. Norwid

Pozostają po nas zapisane karty  
jak brak przyzwolenia na entropię gnicia  
święte przeświadczenie, że być to nie żarty  
ukołochanie światła, afirmacja życia.

Pozostają po nas prawa zapomniane  
myśli w kształt schwytnie doniosłe idee  
kojące doznania jak plastry na ranę,  
co jak sen odchodzą w zaświaty gdy dnieje.



Mylą nas z ptakami, co krążą pod niebem  
albo z aniołami przez nasze postanie  
i owi nieliczni zachwyceni śpiewem  
uniosą na zawsze to nasze śpiewanie!

Anna Karwowska, Dobieszewko

## WIOSNA 2010

drzewa stały prosto  
a wiosna zieloną sukienkę szyła.  
Jeszcze stary ból leżał na duszy  
następny wezbrał mocą śmiertelną  
tam na wschodzie, obcej ziemi w lesie  
załomotały złe duchy i dzwony zabiły szalone.  
Ptak żelazny, ptak srebrzysty  
ziemię zaścielił trupami  
żałoba okrążyła Ojczyznę, słowa cały świat.  
W ciszy lasu siwej mgły  
wiosna otworzyła wrota  
do wiosennego stołu zasiedli wszyscy  
ptak i łoskot metalu.  
Jak cieszyć się tą wiosną  
gdy śmierć zawiesiła zasłonę  
serce migocze, tży leją stony  
a trawa czerwona od krwi.  
Bóg nich czuwa nad ich snem  
niech się zabliznią rany - jak pole kwitnącym  
lnem.

Eugenia Ananiewicz, Słupsk

## SOMOLEŃSK

Ziemio Smoleńska  
tak nieżyczliwa  
jednych mrozem  
innych mgłą zabijasz.

Miecz śmierci ściał  
dziewięćdziesiąt sześć osób  
poranił serc tysiące  
zapomnieć nie sposób.

Czy w snach pozwolił  
żywym powrócić  
tży zasuszone zebrać  
palący ból przytłumić.

Nawet pędzący wiatr  
nie jest w stanie  
pozwolić wyschnąć  
śmiertelnej ranie.

Irena Peszkin, Koszalin

## OKNO Z WIDOKIEM NA MORZE

II.

Panoramiczny widok  
z szóstego  
Wrażenie niesamowite

Fale grzywiaste  
o brzeg się tłuką  
- i tak już trzeci tydzień

W szumie się gubię  
i odnajduję  
Usypiam i budzę o świecie

Spacery owiane słoną bryzą  
wodorostami  
bursztynem

Niebo obwisłe -  
wciąż nie wiosenne  
Chmurami o fale się wspiera

Łabędzie wabią pięknem  
klasycznym  
Krzyk mewy przestrzeń  
rozdziiera

Anna Boguszewska, Słupsk

## NIE JESTEŚCIE JUŻ SAMI

śmierć do polskich oficerów  
przyszła wiosną w katyńskim lesie  
sam Bóg wybrał dla nich  
miejsce wiecznego spoczynku

gdzie echo niesie odgłos kul  
gdzie ptaki śpiewają marsz żałobny  
a kwiaty pochylają głowy  
i mają zapach krwi

po obcym katyńskim lesie  
od siedemdziesięciu lat  
wędrują ich osamotnione dusze  
spętane niewoli jarzmem

dziś nie jesteście już sami  
z dala od ojczyzny  
są z Wami polskie dusze  
pasażerów samolotu Tu - 154

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

## LAS NIE MOŻE BYĆ PRZEKLETY..

Ludzie są winni,  
bo nie pokochali siebie.  
Życie muchomra sromotnikowego jest  
ważniejsze,  
ale tylko dla malarza, dla poety.

Naród musi być jak stal,  
wtedy jesteśmy silniejsi wobec siebie,  
wobec słońca, wobec nieba.  
Bo stamtąd - przecież z nieba przyleciał  
samolot  
...i zgasł, jak świeca na grobie!

## LAS DWU SERC... FRYDERYK SZOPEN NAPRACOWAŁ SIĘ JAK NIGDY

Motto: Tym, którzy zasnęli w Lasku Smoleńskim...

Ile tej muzyki wpłynęło we mnie Fryderyku.  
Jestem zmęczony ostatnim tygodniem,  
a Ty grałeś bez odpoczynku.

Brzozy zakwitły i radośnie żartują z motylami.  
Nie rozumieją polskiej tragedii,  
żyją swoimi obrazami.

A ja wciąż piszę o dramacie Polski.  
Sznurowuję myśli w całość pajęczyny w oknie,  
gdzieś szept słyszę i płacz rosy.

Moja poezja i Twoja muzyka -  
otworzymy dwa serca i ułożymy na trawie.  
Niech wyrośnie z nas Las Serc!

Wanda Majewicz-Kulon, Bytów

## GORZKA WOLNOŚĆ

(Rodzinie Kulonów)

Stary Ojciec utracił na zesłaniu  
Prawie całą swą liczną rodzinę  
Przeżywszy na dalekiej Syberii  
Sześć lat i tyleż samo miesięcy  
Nadeszła gorzka wolność  
Radość mieszała się ze smutkiem

Usiadł Ojciec na kamieniu

Zimnym jak syberyjski śnieg

Jak trupy pod nim zagrzebane

Łokcie wsparł na kolana  
Rękoma podparł siwą głowę  
Rozmyślał co powie krewnym  
I znajomym jak spytają o bliskich  
Dawno już pogrzebanych  
Co powie łanom zbóż  
Kwiatom i drzewom  
Co powie ojczyźnie - pytali  
Pytali - a on milczał  
Bo usta miał zakneblowane  
Tylko w sercu gorycz  
Głośno łkała  
A ojczyzna milczała jak  
głaz...

Jadwiga Michalak, Naćmierz

## LAS KATYŃSKI

Dlaczego szumi katyński las,  
mgłami zasłania swe tajemnice,  
zegar historii odmierza czas.  
Gdzie są dziadkowie, gdzie są rodzice?

Dlaczego z domów nam ich zabrano?!  
Choć siedemdziesiąt minęło lat,  
pamięć otwiera się nową raną,  
na ich tragedię dziś patrzy świat.  
W katyńskim lesie słychać szum drzew -  
znają historię sprzed wielu lat,  
w ich żyłach polska wciąż płynie krew,  
tam zginął dziadek, ojciec i brat.

Tak trudno było przez szereg lat  
walczyć o prawdę minionych dni,  
dziesiąty kwietnia - to jedna z dat  
co łzami spływa - rozpaczą brzmi.  
Las się upomniał o polską krew  
tych, co jechali by oddać cześć,  
ich dusze łączy miejsce wśród drzew,  
a wiatr żałobną rozsiewa wieść.

Polska elita - świat oddech wstrzymał,  
zginęli wszyscy jednego dnia.  
A las katyński tak się zadumał...  
Ich piękne dusze spowiła mgła...

Aldona Peplińska, Motarzyno

### A TO POLSKA PŁACZE

Zachmurzyło się niebo nad Polską  
Roniąc łzy szkarłatem boleści  
Wstrzymał oddech pęd życia  
Smutkiem flaga szeleści  
Thum chce ogrzać zmrożone  
Serca rozpaczą przebite  
Palą się zniczy tysiące  
Napisy pamięci wyryte  
Jedność siłą otula  
Dzieci narodu płaczące  
Nawet zamilkły w gniazdach  
Bociany klekoczące  
Zdaje się koniec w niemocy  
Strach pytania śle w myśl  
Mając cichą nadzieję

Jutro nowe się przyśni  
Jednak jawa okrutna  
Pcha do przodu wytrwale  
Żyj, bo tobie to dane  
Nie jesteś rywalem  
Chociaż ciężkim westchnieniem  
Lico Polski oddycha  
Słychać szepty przyrody  
Budzi się muzyka  
I choć jeszcze niepewnie  
Stawia kroki do przodu  
Wschodzi zboże zasiane  
Silniejszego narodu  
Matka ziemia je tuli  
Poszarpanym obliczem  
Ale nadal nam płacze  
Łez tych nawet nie zliczę...

# przyzwyczałem się do moich bohaterów w wierszach



*W Polsce jest jakiś zaduch przeszłości, jakiś kompleks narodowy. Toż trzy wieki do tyłu ludzie byli inni w świecie Sztuki, w świecie Charakteru, w świecie Erotyki. To były święte Ołtarze dla normalnych ludzi*

Ponieważ niektóre kobiety myślą, że dla mnie napisać wiersz, to jak spuścić wodę z kranu. Nie. To nie jest tak. Gdzieś napisałem, że napisanie wiersza z gatunku erotyku, jest pod względem emocjonalnym silniejsze od stosunku fizycznego.

To prawda, przyzwyczajam się do swoich bohaterów, a zapewne stają się z wyboru mi bliższe. Oczywiście nie mogę kochać sto czy dwieście kobiet. Na pewno napisałem wierszy miłosnych o trzystu kobietach - ale czy wszystkie znałem?

Przykładem może tu być - moja - Biała Dama... Poświęciłem jej kilka utworów erotycznych. Fakt, przyzwyczałem się do niej... metafizycznie, a więc nie fizycznie, bo ja mieszkam w Uście, a ona w Lubinie.

Gabriela jako kobieta, może się mylić, jest cudowną osobą, ale, no właśnie, brak jest jej odwagi opowiedzieć trochę o swoim życiu osobistym. Bo ja pisząc erotyk pojmuję to po swojemu, i jako mężczyzna, i jako poeta, że jest wolną kobietą w tych obszarach i w tej materii.

W jednym liście Gabriela Wojcinowicz-Sieradzka pisze do mnie tak: „Bardzo dziękuję za kolejny cudowny wiersz. Potrafisz w swojej poezji uchwycić niuanse kobiecej urody i w tak piękny sposób komplementować ją. Zauważyłam, że kilka moich koleżanek wręcz mi zazdrości takiego poety na moim profilu”. By już w następnym liście napisać tak: „Ostat-

ni wiersz jest również cudowny, ale musiałam usunąć go ze swego profilu, ponieważ, koleżanka o której pisałam, obraziła się na mnie, że piszę do Ciebie takie rzeczy. Ten wiersz zostanie w mojej pocztce... I mam nadzieję, że Cię tym nie uraziłam”.

- Kto igra z moim życiem? Kto igra z moją twórczością? W Polsce jest jakiś zaduch przeszłości, jakiś kompleks narodowy. Toż trzy wieki do tyłu ludzie byli inni w świecie sztuki, w świecie charakteru, w świecie erotyki. To były święte ołtarze dla normalnych ludzi. Ludzie się kochali i nie wstydziła się tego, a dziś jakaś „partyzana” się wlecze jak cień w korozji, niszczy ten podstawowy grunt, ta wiara, to piękno. Wartości, które nie mają ceny! Erotyk w Sztuce to brylant, a nie sobie tam jakieś pisanie w stylu: „Ach”, „Och”, „Kukuryku”!

Ja nie przechodzę metamorfozy, ja mam to w sobie jako już dojrzały poeta, idący po kamieniach pod górę. Onegdy napisałem ten aforyzm: Mnie można Słowem kupić, i Słowem zabić! Nie wolno z poety czynić zabawkę, jakąś nieudaną grę. Bo to jego wysiłek, nie danej kobiety. Ona sobie tylko poczyta i rzuci w kąt ów wiersz.

Czy wy możecie zrozumieć, że mężowie są zazdrośni o to, że ja piszę erotyki o ich kobietach? A co ty, rycerzu jeden z drugim chcesz walczyć z poetyckim Słowem? Chcesz walczyć z poetą? Przecież on twojej żony nie dotknął fizycznie! Dotyka ją w wierszach metafizycznie, a to jest różnica...

Napisałem przez ostatni miesiąc dziewięćdziesiąt dzieł utworów erotycznych. To chyba rekord w świecie literackim w Polsce... Przede mną następane utwory - które opiewać będą miłością. Bo w Polsce nie ma miłości. To widać na twarzach kobiet na ulicy.

To niech (choć ta miłość) zostanie w moich wierszach. Błagam Was, jako poeta!

**Zygmunt Jan Prusiński**  
Ustka

# poezja ze strychu



*Stary strych od dawna ukrywa w swoim wnętrzu skarby, wielką moc tajemnicy, niespodzianek, a nawet powiedziałabym strachu. Pamiętam z dzieciństwa opowiadania ludzi starszych o tym, co to na tym strychu się dzieje*

W Bieszczadach strychy nie były zbyt duże i wygodne, bo dachy domów musiały być ostro spadziste - bardziej bezpieczne. W tych rejonach śniegu było zawsze sporo. Miejsce na strychu na mieszkaniu wybrała wróżka dobra i zła, a niegrzecznym dzieciakom pokazywał się nawet czarny diabeł z widłami. Trzeba było podrosnąć, by zrozumieć cel tych opowiadań. Po prostu dzieci, jak to dzieci, ciekawe świata.

W czasach mojego dzieciństwa rodzice ciężko pracowali w polu całe dni, niejednokrotnie zostawiając dzieci tylko opiece bożej. Wszystko mogło się zdarzyć. Na strych można było wejść po drabinie wstawionej w sieni. Trudno było przewidzieć, co wpadnie do głowy małym ciekawskim. A strach paraliżował ciekawość. Ja bardzo bałam się strychu i wchodziłam tam tylko z którymś z rodziców. Wolałam drzewa owocowe w sadzie. Nawet na jednym z nich zrobiłam w rozwidleniu gałęzi gniazdo i tam wyniosłam młodszego brata. Miałam wtedy niepełne osiem lat (brat ponad rok), ale lania nie dostałam.

Tu, w Małecinie, w poniemieckim domu strych jest duży - taki, że można go zagospodarować na mieszkanie. W latach czterdziestych nikt o tym nie myślał, więc ten strych stał się dodatkowym pomieszczeniem na rzeczy, które na co dzień nie były potrzebne. Wynosili więc rodzice wiosną odzież zimową i odwrotnie. Już wtedy w strachy nie wierzyłam. Polubiłam to miejsce i często tam przebywałam. Pamiętam długą szeroką deskę przez cały strych. Bawiłam się w dorosłą „panienkę”. Zdejmo- wałam z wieszaka zimowy płaszcz mamy koloru brązowego z dużym puszystym kołnierzem, ubierałam za duże na

moją nogę jej pantofle na wysokich obcasach. Wypychałam czubki pantofli papierami i tak ćwiczyłam chodzenie. To nic, że płaszcz włókł się za mną po desce.

Podrosłam, wyjechałam do szkół i... strych przestał być atrakcją. Tato wyłożył całą podłogę na nim deskami, po bokach pomiędzy filarami włożył długie deski. Spełniały funkcję półek. Zrobił dwie skrzynie drewniane z przegródkami. I tak powoli na strychu lądowały różne rzeczy: bezużyteczne komody (tak teraz modne) zbędne pierzyny, ubrania, obuwie itp. PGR wyremontował mieszkanie i zlikwidował spiżarnię w domu, zatem strych ją zastąpił. W jednej ze skrzyń rodzice trzymali zapasy artykułów spożywczych, suszone zioła, a w drugiej artykuły chemiczne i różny asortyment metalowy od gwoździ począwszy. Tato zawsze miał wszystko porządnie poukładane. Żałuję, że ja nie mam takiej cechy...

Na strychu znalazły się nasze szkolne zeszyty, książki, gazety butelki, duże 60-litrowe butle na wino w koszach, które wypłatał mój tato. Za wikliną jeździł gdzieś aż pod Biały Bór. Z wiązkami wikliny wysiadał z pociągu w Kawczu, a stąd przyjaciół wozem zaprzężonym w konie przywoził go na miejsce. Dużo, bardzo dużo wypłótł różnych koszy, większych, mniejszych z kabłąkami i, bez kabłąków i w różnych kształtach. Szkoda, że żadne z nas nie zainteresowało się tym by przejąć od niego tę umiejętność. Bracia do życia wybrali miasto, a ja na wsi dostawałam gotowe kosze. Tak śmignęło życie...

Od 1993 roku tato został sam. Przyjeżdżałam pomagać w domu i ogrodzie. To były zazwyczaj tylko soboty, bo jeszcze, mimo że byłam na emeryturze - pracowałam. Na strych wchodziłam tylko w razie potrzeby. Po jego śmierci (zmarł w 2000 roku) przez siedem lat przyjeżdżałam tu nadal, by uprawiać ogród (zimą przepalać w piecach). Tak sobie myślałam, że swoją pracą uczczę pamięć rodziców i nie pozwolę, by ich trud poszedł na marne.

Od trzech lat mieszkam tu z mężem. Weszłam na strych z postanowieniem uporządkowania tego składu. Zaczęłam od półek z różnymi butelkami po winie, oranżadzie i litrowych stoików. Trzeba było je wywozić do pojemników w Kawczu. Zbędną odzież, obuwie zeszyty i książki paliłam na środku ogrodu wraz z zielskiem na niewielkich ogniskach. Stare radia, telewizor oddałam zbieraczowi antyków. Zostały gazety „Chłopska Droga” powiązane w paczki sznurkami. Ten papier zostawiłam na podpałkę w kuchni i piecach. Jak przyjeżdżałam do taty, czytałam niektóre, rozwiązywałam krzyżówki. Lubiałam ostatnią stronę. Teraz paląc nie zaglądałam do nich. Jakoś tak odruchowo, czego wcześniej nigdy nie robiłam, 4 lutego rozłożyłam w kuchni na stole pozostałą gazetę „Chłopskiej Drogi” Nr 33 z dnia 16 sierpnia z 1992 roku. Otworzyłam na dziewiątej stronie i tam ujrzałam artykuł z konkursu „Szukamy talentów wsi”. To był XI Ogólnopolski konkurs poezji. Usiadłam i zaczęłam czytać. W tym artykule są trzy wiersze: Pani Barbary Laskowskiej z Rudy Śląskiej, Pani Silvany Oczkowskiej z Tyllic, woj. toruńskie i Pana Stanisława Daszkiewicza z Siekierzyna, woj. zielonogórskie. Lista



uczestników imponująca: 311 poetów amatorów (224 panie i 87 panów) z całej Polski, Czechosłowacji, Litwy, wykaz wygranych i wyróżnionych. W wykazie wyróżnionych znalazłam Pana Jerzego Fryckowskiego z Dębicy Kaszubskiej.

Siedziałam zamyślona, zastanawiając się, co było przyczyną, że tak właśnie postąpiłam. Tato na pewno nie przewi-

dział, że ja po latach znajdę rzecz „o potrzebie duszy”. Wtedy jeszcze nie pisałam wierszy. Odpowiedzi nie znalazłam. Może ktoś mi podpowie.

A jednak stare strychy zawsze mają tajemnice.

**Eugenia Ananiewicz  
Słupsk**

## poemat o śmierci

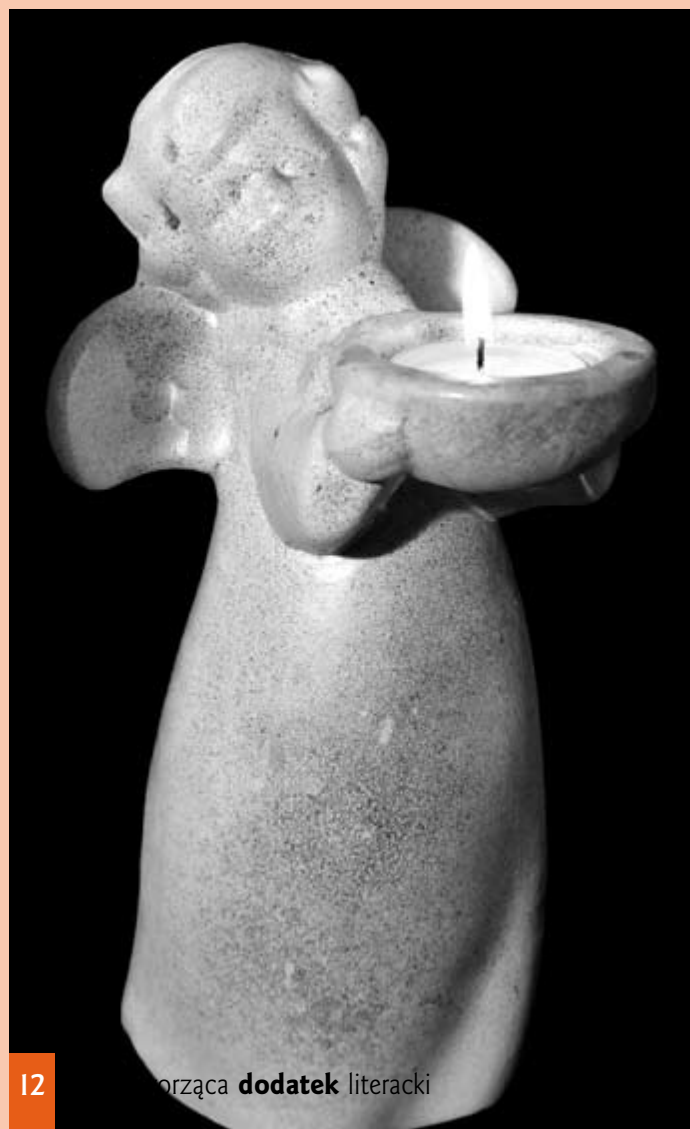


*Są mężczyźni,  
którzy takich  
zbrodni kobiet  
nie zapominają.  
I ja do nich  
się zaliczam*

Kiedyś na emigracji napisałem wiersz pt. „Poemat o śmierci”:

*Niewiele już sensu  
zdobię czasami pryzmat światła  
chwilową jałmużną wiersza.*

*Rzadko udaje mi się napisać  
dobry wiersz,  
najczęściej przerywam...*



I dalszych strof już nie pamiętam, niestety. Wiersz ten powstał autentycznie z autopsji i doświadczeń. W Wiedniu przez siedem lat byłem i żyłem z jedną z najbardziej urokliwych Polek, Krystyną A. Pochodziła z Elbląga. Wyjechała do Wiednia wraz z synem Adamem. Nie mieliśmy ślubu, ale razem przez tę przyjaźń i miłość zjechaliśmy sporo Europy.

Krystyna zaszła ze mną w ciążę. Jakoś nie chciała urodzić mojego dziecka. Pojechała z Wiednia do Wrocławia je usunąć. Była umówiona z lekarzem - rzeźnikiem! Odprowadziłem ją na pociąg „Szopen” na Sudbanhof, na południowy dworzec, żeby następnego dnia zabiła moje - nasze dziecko!

Kiedy pociąg ruszył, ja płacząc (tak jak płacze mężczyzna), napisałem ten wiersz, „Poemat o śmierci”:

*Niewiele już sensu  
zdobię czasami pryzmat światła  
chwilową jałmużną wiersza...*

\*\*\*

Krystyna A., moja kobieta z Wiednia była piękną kobietą w stolicy Straussa i Falco. Szatynka ze znaku „Skorpion”. Poznaliśmy się w „Domu Polskim”. W moim dotychczasowym życiu, była to kobieta wielce mi oddana, ale pozostał we mnie ciężar utraty dzieci - bliźniaków, chłopca i dziewczynki.

Krystyna pojechała do Wrocławia. Do rzeźnika, tak do rzeźnika, nie do lekarza. Okazało się w czasie tego zabiegu, że były dwa zarodki. Ani w jej rodzinie, ani w mojej rodzinie nikt nie miał bliźniaków. Po kilku latach Krystyna rzekła do mnie: „Żałuję, że usunęłam ciążę!” Ale wszystko było już między nami za późno. Związek powolutku się kruszył.

Powstał za to wiersz pt. „Poemat o śmierci”:

*Niewiele już sensu  
zdobię czasami pryzmat światła  
chwilową jałmużną wiersza...*

Są mężczyźni, którzy takich zbrodni kobiet nie zapominają. I ja do nich się zaliczam.

Wiersz ten zrobił na emigracji karierę. Zostałem zaproszony do Hamburga na spotkanie autorskie zorganizowane przez tamtejszych polskich emigrantów. Głównym gospodarzem był Ryszard Wojtyła, aktor i reżyser. Mieli swój klub - kawiarnię i tam odbył się mój wieczór z Polakami z Hamburga i okolic.

Sala wypełniona. Kilkadziesiąt osób słuchało moich wierszy i moich piosenek przy akompaniamencie gitary. Kiedy skończyłem, podeszła kobieta z dwojgiem dziećmi i tak rzecze do mnie: „Czy pan to przeżył osobiście?” Chodziło jej o wiersz „Poemat o śmierci”. Odpowiedziałem: - Tak. Widziałem w tej kobiecie łzy. Jaką musiała być wrażliwą, że potrafiła odebrać ten mój czarny dramat.

Bliźniaków nie mam. Pozostał wiersz. Na dodatek w strzępach, prawdziwy, jak moje życie. Bo poetom prawdziwym jakoś życie nie wychodzi. Trafiają nie na kobietę, a na beton!

*Niewiele już sensu  
zdobię czasami pryzmat światła  
chwilową jałmużną wiersza...*

**Zygmunt Jan Prusiński, Ustka**



*W dwudziestoleciu międzywojennym, w latach 1918-1939, ale i po wojnie w latach bytu PRŁ sztuka polska przeżywała okresy obfitujące w doniosłe wydarzenia i spory artystyczne. Nic w tym dziwnego, bo w nowych sytuacjach przemian społecznych i ustrojowych ciągle ferment jakiemu podlegało środowisko twórcze, nowe sytuacje otwierające inne możliwości działania, inna organizacja, przewartościowywanie dotychczasowych poglądów i formułowanie nowych programów artystycznych, obejmował wszystkie warstwy kultury i dyscypliny z plastyką i architekturą łącznie*

# sztuka nie sztuka, czyli „cyrkulacja idei i piękna”

Krąg zagadnień plastycznych określany dotąd terminem sztuki dekoracyjnej (z meblarstwem, ceramiką, tkaniną i in.) po 1930 roku zawężono do terminu architektura wnętrz, sztuka wnętrz. Ewolucja terminologii wskazywała na przesunięcie punktu ciężkości z problemów dekoracyjno-artystycznych na funkcjonalno-architektoniczne.

Z faktów, zjawisk o licznych odcieniach i formach pośrednich zachodzących na przestrzeni dwudziestu lat między wojnami warto poznać dwie zasadnicze tendencje charakteryzujące klimat tamtych czasów płodnych dla spraw polskiego wnętrzarstwa.

Jeden nurt pozostawał w bliższych związkach z rewolucyjną sztuką, nowoczesną architekturą i techniką, z programem międzynarodowego funkcjonalizmu i konstruktywizmu, koncepcjami szkoły Bauhausu, z tworzeniem międzynarodowych standardów w sztuce, tak w architekturze jak i we wnętrzach. Nie były to hasła takie ot sobie, a bardzo bliskie dzisiejszym czasom: ekonomia w każdym aspekcie, maksymalne wykorzystanie powierzchni wewnętrznej, choć powiązane z otoczeniem, ilość mebli najniezbędniejsza i często wbudowywana oraz zupełnie nowe materiały i konstrukcje. Zimno, efektywnie, skutecznie, oszczędnie, dobre jakościowo... itd., itd. co po części wynikało z fascynacji maszynami, logiki ich konstrukcji i podporządkowaniu im procesów wytwórczych i technologii.

Drugi nurt, mnie osobiście bliższy, nie „inżynierski”, eksponował w formach dekoracyjnych pierwiastki narodowe. Już w 1901 roku artyści, etnografowie, historycy sztuki i miłośnicy rzemiosła artystycznego realizowali plan zakładający pobudzenie twórczości rodzimej w zakresie projektowania wnętrz, tkaniny artystycznej (kilimy), zbierania obrazów sztuki ludowej, organizowanie akcji wystaw i konkursów z różnych dziedzin. Styl jaki próbowali nadać polskiemu wnętrzu zwolennicy ruchu odnowy rzemiosła, był realizacją i kontynuacją doktryny estetycznej sprzeciwiającej się produkcji maszynowej, postulując uszlachetnienie pracy ręcznej i uczynienie jej radością człowieka. Powrót do rękodziela miał być antidotum na monotonię czynności spełnianych przy maszynie. I pomyśleć, że już w latach po 1850 roku budziły się niepokoje z powodu zalewu rynku produkcją przemysłową, pozbawioną wartości artystycznych i własnego wyrazu. Skąd my to znamy?

Dziś nie, no może nieśmiało, ale wtedy na przełomie XIX i XX w. świadomie stawiano znak równości między sztuką tzw. czystą i stosowaną, był on drogowskazem dla następnych generacji artystycznych. Taki drogowskaz stawał nie kto inny jak niedoceniany przez współczesnych, poeta - wizjoner Cyprian Kamil Norwid. To on i aktorzy Młodej Polski: Stanisław Witkiewicz, Stanisław Wyspiański, Józef Mehoffer

tworzyli nową płaszczyznę artystycznego działania, sztukę stosowaną. Wyrastała ona na teoretycznym podłożu prac poetów i myślicieli i wg różnorodnych interpretacji poszczególnych artystów, forujących drogę nowemu myśleniu.

W swojej poezji Norwid sformułował nowe poglądy na sztukę, (poemat Promethidion), a jego koncepcje dotyczyły pierwiastka piękna zawartego w każdej twórczej pracy wykonywanej przez człowieka. Poeta stworzył teorię „cyrkulacji idei piękna”, która wyrażała się w zrównaniu rzeźby i malarstwa z rękodziłem artystycznym. Uważał też, że życie ludzi zależy od wprowadzenia do niej „całej gamy idei piękna rozlewającego się w pracy”. Ta oczywiście była rozpatrywana głównie od strony działalności artystycznej.

Stanisław Witkiewicz to ojciec Witkacego, krytyk, malarz, architekt. W jego koncepcji widzenia sztuki narodowej odbijały się myśli Norwida upominającego się o styl i odrębną formę sztuki polskiej. Komponował architekturę i dbał o najdrobniejsze nieraz szczegóły wnętrz traktowanych jako integralną, spójną całość: meble, tkaniny, szkło, obrazy musiały ze sobą współgrać. Projektował serwisy i hafty, wszystkiemu nadając formy znanego dziś powszechnie stylu zakopiańskiego, inspirowanego sztuką ludową Podhala.

Stanisław Wyspiański wszechstronnie utalentowany dramaturg, poeta, scenograf, malarz, także projektował wnętrza. Walczył czynnie o wartości plastyczne wnętrza i przedmiotów codziennego użytku, o rozciągnięcie pojęcia sztuki na jak największy zespół kształtów nas otaczających. Prezentował jedność zjawisk plastycznych bez względu na miejsce ich występowania, głoszone teorie realizował projektując monumentalne witraże, meble, kraty, kilimy, grafikę książkową, scenografię teatralną i kostiumy, wnętrza sal wystawowych i układ kompozycji. Wielki, wszechstronny artysta działający z niebywałym rozmachem i ucieleśniający w praktyce norwidowską „cyrkulację idei piękna”.

Praca Józefa Mehoffera i jego kompozycje pozostające w kręgu modnej secesji, również złożyły się na wyraz sztuki Młodej Polski tworząc nową płaszczyznę artystycznego działania, sztuki stosowanej.

W latach między dwiema wojnami trwał stały konflikt między ideą sztuki dekoracyjnej a purystycznym funkcjonalizmem. W tym ścieraniu się idei brała udział plejada twórców, narastał sprzeciw wobec programu gloryfikującego odrębności narodowe. Były lata rozkwitu sztuki dekoracyjnej i lata koegzystencji dwu równoprawnych tendencji i ich ewolucji.

Cezurą czasową jakby porządkującą ideowe spory artystów konstruktywistycznych i tych z kręgu sztuki dekoracyjnej, rzekomo anachronicznej i z gruntu fałszywej, była paryska Międzynarodowa Wystawa Sztuki Dekoracyjnej w 1925 roku. Jej efekty to niekwestionowany sukces polski, ekspozycyjny rozmach, niebywały aplauz wśród jury, ponad



170 nagród i wyróżnień. To, jak pisano: „...samotny szczyt wśród artystycznych wydarzeń okresu 20-lecia...”, „...styl roku 1925...”, „...Paryskie zwycięstwo sztuki polskiej...” i zwycięstwo tendencji dekoracyjnych o rodowodzie od Matejki, jego uczniów - Wyspiańskiego, Mehoffera i zakopiańskiego stylu Witkiewicza, zamykających klamrą epokę poszukującą inspiracji w sztuce narodowej, pełnej dla niej uwielbienia i dążeń do osiągnięcia stylu narodowego.

Ww. sukces to efekt wielu ekspozycji wystaw i konkursów artystycznych, np. na meble włościańskie i małomieszczańskie, wyphywający z reminiscencji ludowych i tradycji polskiego rzemiosła, pism i czasopism, a głównie szkół snycerskiej, koronkarskiej, uczelni z dziedzinami: meblarstwo, tkactwo, ceramika, witraż, farbiarstwo, metaloplastyka, introligatorstwo, fotografia artystyczna, także wielu kursów technik zdobniczych, np. batik - barwnych tkanin rodem z wyspy Jawa, zdobienia drewna i papieru, osobliwości używanej jako makaty, portiere, serwety, nakrycia abażurów, ozdobnych poduszek, suknie, zwłaszcza teatralne. Ta samodzielna (!) już dziedzina zdobnictwa trafiająca na podatny grunt z rodzimymi powiązaniem z pisanką znajdowała się w okładkach i wkłękach do książek, w pudełkach, puszkach, bombonierkach, misach, talerzach, tacach, zabawkach, a nawet na meblach.

Po ww. wystawie paryskiej, koncentrowano zainteresowania na tworzeniu organicznie zespolonych wnętrz. Na wielu europejskich wystawach ekspozowano tkaniny: makaty żakardowe z lnu, wełny i bawełny, tkaninę kilimową z rodzimego tworzywa - swojskiej ręcznie przędzonej wełny i starych recept farbiarstwa roślinnego, makaty, dywany strzyżone i tzw. kobierce. Szerzono kulturę mieszkania i stworzenie racjonalnie pomyślanych, a zarazem funkcjonalnych urządzeń wnętrz dla średniozamożnej warstwy inteligencji. Te działania odnajdywano potem w stylu wnętrza powojennego: proste, masywne znakomicie wykonane meble, często z sosny

lub brzości, żakardowe tkaniny lniane czy wełniane narzuty oraz kilimy obok subtelnej w kolorze ceramiki. Powstał typ konwencji nawiązujący po części do tradycji ludowych, po części do dworskich, przetwarzając je w myśl nowych potrzeb społecznych i artystycznych.

W latach 30. znany hasło: „mieszkanie najtańsze dla najszerzych warstw”, prezentację kolonii 20 typów domków jednorodzinnych z pełnym rozwiązaniem wewnątrz i z drewnem jako budulcem - ten fakt w wielorakich rozwiązaniach konstrukcyjnych przyczyniał się do pogłębiania znajomości obróbki drewna i konstrukcji drewnianej.

Odzyskiwał swoją pozycję typ wnętrz artystycznych z pewną monumentalizacją i wykwintem obok prostych mieszkań funkcjonalnych. Próbowano na różne sposoby pohamować standaryzację szerzącą się w krajach uprzemysłowionych, mobilizować wysiłki nowoczesnej techniki i myśli plastycznej do tworzenia rozwiązań techniczno-estetycznych z większymi wartościami humanistycznymi.

Na styl lat 30. złożyło się rosnące w siłę, od 1933 roku widmo wojny, a architektura wnętrz stawała się coraz bardziej iluzyjna - stwarzała wrażenia stabilności, wygody, a nawet wyszukanego wykwintu. Na wyszukaną elegancję wnętrz miała wpływ kinematografia, filmy z Hollywood kształtujące gusty i styl bycia sfer posiadających.

Przywołam tu jeszcze jedną wielką światową wystawę w 1939 roku w Nowym Yorku. Jej myślą przewodnią było, paradoksalnie w świetle zaistniałych wydarzeń historycznych, stawianie demokracji. Polska pokazała swój historyzm w pełnej krasie, projekty historyzujące: wykwintne meble nawiązujące do starych stylów, krzywiznami, ale ekscentryczne z pozornym prymitywizmem. Skóry zwierząt porożkądano na podłodze, zwalczany ornament powrócił w realizacjach do pełnej krasie. Wielorakie formy dekoracyjne demonstrowały meble zdobione rzeźbami, piece i kominki o kaflach ludowych malowanych i malowidła dekoracyjne na ścianach itp.

Wobec wydarzeń politycznych - wrzesień 1939 roku wygaśł konflikt między ideą sztuki dekoracyjnej a purystycznym funkcjonalizmem, ścierającymi się w latach międzywojennymi.

Zbyt wcześniej na poniższą uwagę, ale po tych czasach, w głowach użytkowników współczesnych została stylowy mieszmasz, urządzeniowe resentymenty, trwanie w standaryzacji i ucieczka w stylowość, jakąś stylowość własną, indywidualność, niestety często, zbyt często pozbawioną smaku, gustu czy choć odrobiny przemyslenia, a hołdowniu wszechpotężnej i wszechogarniającej modzie.

Ale przedtem był PRL, a już od pierwszych lat jej bytu symptomem nadchodzących czasów znowu była nowa terminologia obowiązująca wszystkie warstwy kultury z plastyką i architekturą włącznie. Dziedzina plastyki przybrała w nowej rzeczywistości potoczną nazwę sztuki użytkowej - zarzucono powszechne w latach międzywojennych określenie sztuka dekoracyjna i sztuka wnętrz.

Idee sztuki społecznie użytecznej o dużym zasięgu oddziaływania, dzięki uwielokrotnieniu wzoru artysty, stawały się nowym, szeroko pojętym programem. Sztuka użytkowa stała się jako termin codziennym określeniem dla wielu zagadnień plastyki związanej z życiem. Jednakże z biegiem lat tracił on na znaczeniu, wykrystalizowało się, uzyskując odrębność w zakresie terminologii, wzornictwo przemysłowe. Choć termin sztuka użytkowa pozostał do dziś w języku potocznym, nie zyskał nobilitacji podniesiony do rangi, jaką miały poprzednie nazwy, był nie lubiany, zwłaszcza przez artystów, których twórczość określał.

Program „sztuki socjalistycznej w treści i narodowej w formie” wysunięty w 1949 roku, określanej jako doktryna, wprowadzająca i uznająca socrealizm - realizm socjalistyczny za jedyne obowiązującą metodę twórczą, został po paru

latach odrzucony. Był raczej sprawdzianem ideologicznej poprawności dzieł oraz miarą uległości twórców wobec dysponenta politycznego, choć w warstwie formalnej niósł dalsze pogłębianie związków z tradycją ludową i nawiązywanie do historyzmu, a socjalistyczne treści malarstwa, rzeźby czy grafiki, mieścił i interpretował w programie sztuki społecznie użytecznej. Ta miała sprostać potrzebom i ambicjom ludzi pracy, a więc stać się udziałem całego społeczeństwa, przebudować świadomość społeczną. Proklamując socrealizm hasłem „sztuki narodowej w formie” sięgano romantycznego rodowodu, do Cypriana K. Norwida, do tradycji, czyli idei przenoszenia i przekazywania już istniejących wartości z pokolenia na pokolenie i rozwijania ich w myśl dążeń następnej epoki.

Prezentacja osiągnięć i przemian zachodzących w mijających latach nie jest możliwa, bo dzieje sztuki użytkowej wypełnia swobodne pole wypowiedzi współczesnych artystów. To nie tylko agitacja i dydaktyczna rola sztuki nieustannie manifestująca swą społeczną użyteczność i nie tylko awangardowa nowoczesność tak różna od koncepcji historyzmu. To problemy ze zjawiskiem bezkrytycznego sięgania po obce wzorce, czasu stabilizacji występujących dążeń i wielości

postaw i uprawianych gatunków, barier między „sztukami czystymi” i użytkowymi. To wieczne dylematy stałych przeobrażeń klimatu wokół sztuki użytkowej: zwroty ku rzemiosłu lub raczej odwrotu do przemysłu. Również te dotyczące wzornictwa, w tym przemysłowego i obrazy nasycenia rynku przemysłową tandetą przeznaczoną na użytek codzienny, ale i funkcjonowania wyrobów dekoracyjnych wyrabianych wprawdzie przez artystów plastyków, lecz pozbawionych cech użytkowych.

Ten zawężony ledwo do lat 50. i 60. XX wieku siłą rzeczy opis tego, co się sztuką zwie z perspektywy lat warto ująć w konkluzję następującą: progi historii wcale nie działają automatycznie, a technicyzowanie życia ma własną siłę bezwładności, ogromnie trudną do przezwyciężenia za pomocą argumentów wywodzących się z humanistyczno-artystycznych programów i definicji. Kolejne lata bytu sztuki i bycia ze sztuką, zwłaszcza w ostatnim dwudziestoleciu XXI wieku wymagają odrębnego podejścia, a nie wątpię, że nowe czasy aktualność ww. konkluzji potwierdzą, dowodząc nadal cyrkulacji idei piękna w życiu i sztuce.

Czesław Quit  
Lubuń

# nie ma dyskusja, czyli o madonnach inaczej



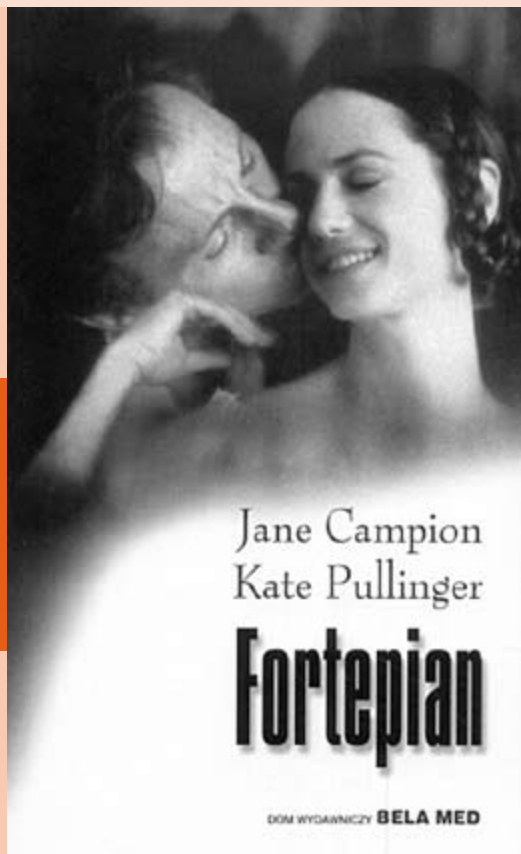
*Książka „Fortepian”, której główną bohaterką jest Ada McGrath, to uniwersalna historia każdego człowieka, ciekawe, ale zarazem trudne studium cierpienia i bólu. W relacji z innymi człowiek nie pozostaje w izolacji*

Na swojej drodze życiowej człowiek spotyka różne osobowości, czasem ciekawe i bystre indywidualności. Skłonny jest niekiedy popadać w stan odrętwienia i bierności, poddając się tym samym władzy innych. Lektura „Fortepianu” dostarcza odpowiedzi na pytanie, jak dużo można ofiarować ludziom, aby nie zatracić istoty samego siebie. Książka pragnie wyznaczyć granicę tej ingerencji, chce uświadamiać nas z czego czerpać siłę, by nie popaść w skrajny egoizm czy samouwielbienie.

Ale są jednak inne próby interpretacji tej interesującej książki. Można postarać się spojrzeć na nią z perspektywy krytyki feministycznej. W takim układzie kobieta, a dokładniej główna bohaterka Ada, byłaby ofiarą, istotą osaczoną przez mężczyznę. Dlatego w sposób symboliczny traci ona swój głos i od tej pory nie ma możliwości decydowania o swoim losie. Afazji nabawia się Ada stosunkowo wcześniej, jako dziewczynka, znajdująca się pod opieką ojca. Przebywanie pod męską kuratelą, przesiąknięcie ideologią patriarchalną, dominacja świata męskiego nad jej własną kobiecością nie pozwala jej na powrót do samej siebie. Afazja jest skutkiem narastających obaw bohaterki przed złym światem. Tym bardziej, że akcja powieści ma miejsce w XIX wieku, w romantycznych jeszcze czasach, gdzie panował niezmiennie stereotyp kruchoj i wątpliej kobiety,

sztampowej madonny, kochającej i milczącej oraz silnego mężczyzny, który po-

wiela szablon żołnierza-bohatera. A „prototypowa madonna”, na którą mężczyźni pragnęli ją skroić, wcale zwykłą nie była. I choćby nawet wskazywał na to strój, a była to, standardowo, rozłożysta, czarna suknia z krynoliną oraz bufiastymi rękawami, sterzący czeppek, które razem potęgowały wrażenie monumentalności, to Ada nie czuła się dobrze w tym „uniformie”. Nie chciała odgrywać odwiecznej „roli kobiecej”, ale w końcu stać się kobietą. Podróż do buszu, czyli do wnętrza samej siebie, pozwoliła jej na zdjęcie niewygodnej sukni, mającej kształt teatralnego kostiumu i odzyskanie prawdziwie wiary w siebie. Pod nadzorem mężczyzny znajduje się również córka Ady, jej „cielesna miniatura”, madonna która ma jeszcze głos, choć być może, tak jak niegdyś jej matka, go straci. A wszystko zależeć będzie od Ady, od tego którą z dróg wybierze i do jakiego życia przekona córkę.



Biorąc pod uwagę perspektywę emancypacyjną, w takim położeniu fortepian byłby jedynym narzędziem, umożliwiającym wyartykułowanie kobiecości. Muzyka fortepianu staje się ramą dyskusji, a właściwie kulturowego dyskursu o kobiecie, jej potrzebach, jej uczuciach i o czymś jeszcze, o całokształcie negatywnych zachowań względem kobiet podjętych „z premedytacją” przez płęć przeciwną. „Fortepian” ma więc zachęcać kobiety do dokonania próby nakreślenia swojej obecnej sytuacji, ma skłaniać do głębszych przemyśleń nad byciem kobietą. Choć nie tylko. Baza interpretacyjna tej lektury wydaje się głębsza. Nie chodzi tu wyłącznie o kobietę, ale o relację obu płci, związek, który doprowadza do realizacji pełni. Mężczyzna i kobieta nie istnieją pojedynczo. Są razem i to akcentuje ich obustronne człowieczeństwo. Tego szukać będzie Ada przez cały literacki tok wydarzeń.

Ludzie nawzajem się krzywdzą. Zapominają o tym, że drugi człowiek też może kochać, przeżywać coś, bać się lub cierpieć. „Fortepian” pragnie określić granicę ludzkich działań.

Ale niejednokrotnie mu się to nie udaje. Ada zdradza rzekomego męża, ale odnajduje prawdziwe uczucie. Jej mąż natomiast mści się, odcinając jej palce u dłoni. Pytanie brzmi, kto posunął się za daleko? On czy ja, ja czy on? Takiej odpowiedzi powinniśmy udzielać sobie każdego dnia.

Życie przygniata człowieka. Ale stanie się uciążliwe jeszcze bardziej, kiedy nie potrafimy zaakceptować wyborów innych, bliskich nam osób. Być może tylko fortepian, swoją łagodną, harmonijną muzyką potrafi uciszyć strapiione serca, zagłuszyć lęk, zatuszować prawdziwe cierpienie. Ale tylko do nas należy decyzja, czy fortepian ten spadnie wraz z nami na dno oceanu, czy to my sami pozostaniemy na powierzchni i usłyszymy inną muzykę, refren nucony przez duszę drugiego człowieka.

**Anna Łozowska, Słupsk**

*Jane Campion, Kate Pullinger: „Fortepian”, Wydawnictwo: Bela Med.*

# mistrz

*Któregoś wieczora podczas strajku włóczyłem się po korytarzach Instytutu. Zza drzwi jednego z profesorskich gabinetów usłyszałem dźwięki muzyki. Stałem, a po chwili drzwi się uchyliły. Ktoś spojrzął na mnie i zaprosił do wewnątrz. Tak poznałem Justynę i bractwo z akademickiego duszpasterstwa*

- Ksiądz mówi, że ładnie wyrzuciłeś ludzi spod kościoła ostatnim razem i pyta, czy nie chciałbyś zorganizować teraz całej służby porządkowej? - Justyna powiedziała to wszystko ze śmiechem. Patrzyłem na te jej wiecznie roziskrzone, bardzo brązowe oczy, podobne do kasztanowych oczu mojej mamy. Justyna nie była w moim typie, i jeszcze te mamine oczy, ale lubiłem być blisko niej. Chyba z wdzięczności za powrót - właśnie ona wprowadziła mnie w ten świat, zapomniały przeze mnie świat religii.

\* \* \*

Poznałem ją na strajku. To był ów protest studencki przeciw rektorowi Hebdzie z Radomia. Rozbito w tym czasie Szkołę Pożarniczą w Warszawie. Ktoś czuwał w nocy na dachu budynku - nasz strajk był przecież nie mniej ważny - ale pies z kulawą nogą nie zrobił desantu na leżący w cichej okolicy Instytut. Powstał natomiast kuplet o studencie czuwającym nocą na dachu, aby ochronić studencką brać przed ładowaniem ZOMO. To była późna jesień, więc gość bardzo się poświęcił. Tyle że było to śmieszne, bo wtedy mało kto nie strajkował w kraju i byłoby bardzo dziwne, gdyby akurat nas miano rozbijać z helikopterów.

Kłopoty logistyczne spowodowały, że musiałem spać w jednym śpiworze ze śliczną blondyneczką z mojego Wydziału. Lojalnie uprzedziła, że ma chłopaka i żebym traktował wspólne spanie czysto koleżeńsko. Niczego więc nie próbowałem, choć myślę, że gdybym, to nie byłoby tak źle. Miałem w sobie jednak jeszcze resztki niewinności i może dlatego po prostu spaliśmy grzecznie w jednym śpiworze przez tydzień.

Grzecznie a nie grzesznie. Pewnie w jej oczach wyszedłem na pierdołę. Była zgrabniutka i miała podniecający meszek na karku. Leżąc przy niej, odwróconej plecami w ogromnej sali pełnej strajkujących, nieraz widziałem jak mój oddech roztrąca delikatny puch.

Ładna blondynka uroczo wymawiała „r”. Tak jakoś po francusku. Uwielbiałem to. Przypominało mi pierwszą miłość - dziewczynę z Francji poznaną nad Wigrami, którą wozilem kajakiem po jeziorze. Nie pamiętam, jak miała na imię, ale kochałem ją szaleńczo przez wiele miesięcy. Dziewczyna chciała wyrobić Kartę - zrobiłaby to bez problemu, bo była w klasie sportowej o profilu... pływackim. Pijany ratownik w poczuciu jakiegoś przedziwnego poczucia patriotyzmu niczego jej jednak nie zaliczał. Może po prostu już nie świecił - w trakcie „egzaminu” nadal popijał, nawet tego nie kryjąc. Najdziwniejsze, że ta śliczna dziewczyna z cudownie prostymi włosami, była w połowie Polką. Nie pomogło. Ale za to trochę sobie popływała ze mną i... złamała mi serce. Najbardziej tym, że nie zostawiła adresu. Całe tygodnie siedziałem wieczorami przy zgaszonym świetle i słuchałem jakiejś francuskiej piosenki, straszliwie duszaszczypliwej, z pewną Marią Consuelą w refrenie. Utwór miałem nagrany na kaseciak, ale tylko do połowy i tą połówką katowałem zrozpaczoną rodzinę. W końcu mi przeszło. Wielomiesięczna jednodniowa nieodwzajemniona miłość. Najważniejsza, bo pierwsza.

Wracając do towarzyszy ze śpiwora, to razem poszliśmy z plakatami strajkowymi i wylepiliśmy nimi pociąg jadący do Radomia. Bardzo nas to rozbawiło, a plakaty dobrze lgnęły do burt wagonów. Przedstawiały dwie uściśnięte ręce - na rękawach było napisane: „Radom i Łódź”. Jakoś przewrotnie kojarzyły mi się z ikonografią w konwencji: „Pakt Ribbentrop - Mołotow”.

Któregoś wieczora podczas strajku włóczyłem się po korytarzach Instytutu. Zza drzwi jednego z profesorskich gabinetów usłyszałem dźwięki muzyki. Stałem, a po chwili drzwi się uchyliły. Ktoś spojrzął na mnie i zaprosił do wewnątrz. Tak poznałem Justynę i bractwo z akademickiego duszpasterstwa. Oczywiście natychmiast rzuciła mi się w oczy czarnulka z sympatyczną twarzą okoloną długimi, prostymi włosami. Słuchałem muzyki, ale jednocześnie obserwowałem grę cieni na jej twarzy, grę cieni i światła rozedrganych świec. To była Anna. Anna wielu dobrych dni. Tego wieczora zapatrzyłem się na nią i tego wieczora wyszedłem z nią ze strajkującego Instytutu i odprowadziłem pieszo w odległy koniec Śródmieścia.

Najbardziej urzekły mnie jej oczy, ciemne jak moja dusza, i włosy. Długie i proste. Uwielbiałem w tamtym czasie



dziewczyny z ciemnymi, długimi włosami. Rozpuszczonymi, bez ozdób i uduwnień. Po prostu proste. Pewnie dlatego, że zaczytywałem się w dzieciństwie powieściami o Winetou. A tam Apanaczi z czarnymi włosami. Mój ideał dziewczyny z tamtych lat. Apanaczi. Co nie przeszkadzało mi kochać równocześnie Marusi i Lidki.

Anna miała włosy w moim typie. Ale o Annie będzie innym razem, bo Anna jest warta historii tylko o sobie. Chociaż ta opowieść nie ułożyła się nam. Ale tkwi we mnie niczym

rolek... identyczny z naturalnym. Szlachetny papier był towarem absolutnie deficytowym.

Był słoneczny dzień. Tłum ludzi maszerował nieprzerwanie godzinami do klasztoru. Robiłem ważną rzecz dla Kościoła. Byłem dumny. Dostałem nawet trochę wejściówek z angielskimi nazwami chorób. Wejściówki nazywaliśmy „numerkami”. Mogliśmy rozdawać je potrzebującym.

W jakimś momencie zobaczyłem idącą po schodach kobietę w średnim wieku prowadzącą staruszkę, która wspinała się mozolnie krok po kroku na Giewont schodów klasztornych. Córka wiodła ją pod ramię i z czułością, jak do dziecka, mówiła co chwila:

- Tuptaj, Mamusiu. Tuptaj.

\*\*\*

Wiele godzin patrzyłem na pochód wszelkich nieszczęść szukający nadziei w Mistrzu. Rozdałem swoje numerki. Miałem jeszcze jeden, gdy zbliżyło się dwóch dziarskich staruszków. Panowie podtrzymywali się, ale trzymali się prosto. Nie mieli numerków. Poprosili akurat mnie. I musiałem wystąpić w roli Boga. Pamiętam jak dziś, pomyślałem, że są starzy, a ratować trzeba młodych. Nie dałem im wejściówek. Dałem tę ostatnią matce z małym dzieciątkiem. Zrobiłem selekcję, jak esesman w Auschwitz.

Kilka tygodni później dostałem zaproszenie na koncert cytrzystów. W Domu Kultury w moim mieście zrobiono wystawę instrumentów. Ktoś sfotografował mnie. Mam to zdjęcie do dziś. Siedzę pod ścianą pełną cytr. Siedzę dumny niczym tę piękną instrumenty na ścianie. A później...

weszło dwóch dziarskich staruszków. Panowie podtrzymywali się, ale trzymali się prosto. Grali pięknie na cytrach. A na koniec zaproponowali, że będą udzielać lekcji za darmo i jeszcze dadzą w prezencie cytrę chętnemu do nauki.

Jest mi wstyd do dzisiaj.

Nie wiem, co się stało z matką z dzieckiem, którym dałem ów ostatni „numerki”.

\*\*\*

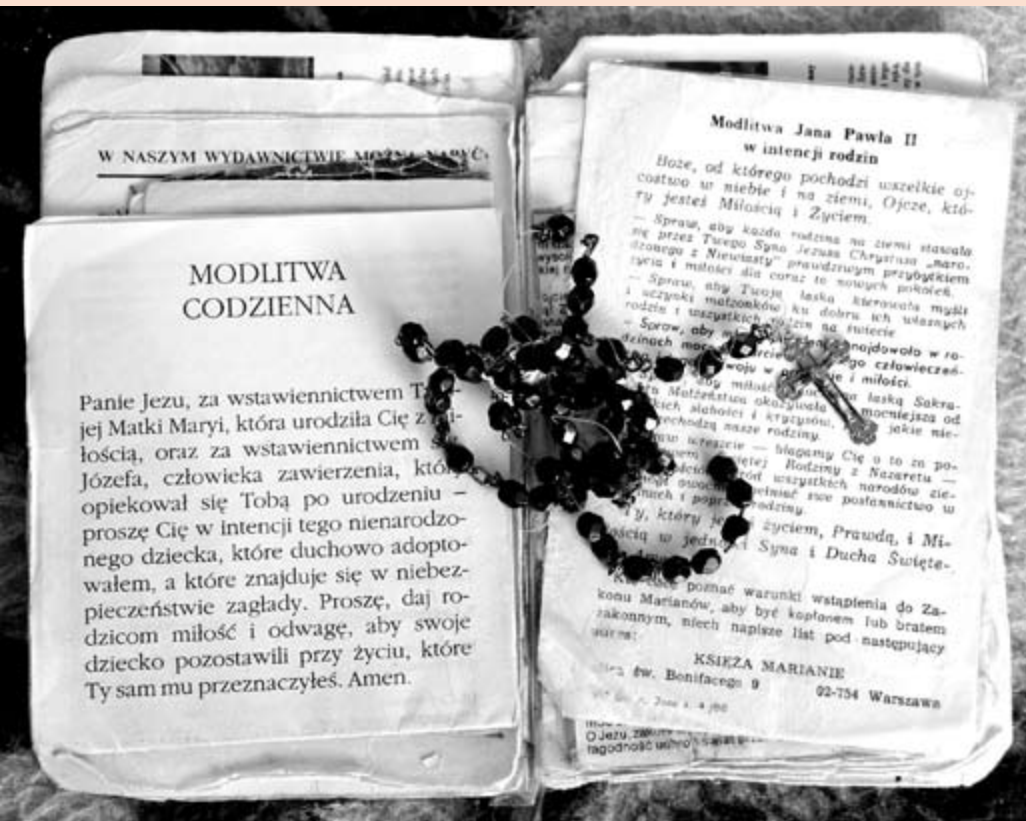
Stałem kilka razy jako „ochroniarz” Mistrza. To był dobry czas.

Ostatni raz „dowodziłem” porządkowymi. Nie chciałem, ale prośbom Justyny nie mogłem się oprzeć. Zresztą... zawsze pociągało mnie nowe, no i zawsze moje zarozumiałstwo kazało mi być o krok przed innymi. Coś jak z Terencjusza - „odważnym los sprzyja”.

Mistrz leczył nie w klasztorze na obrzeżu miasta, ale w wielkim kościele w pobliżu akademickiego osiedla. Miałem sentyment do tej świątyni, bo w niej po raz pierwszy wykonywano moje piosenki. To znaczy, ja pisałem teksty, a Justyna muzykę i śpiewała owe utwory podczas mszy, grając na gitarze. Pięknie śpiewała.

W połowie akcji Mistrz zrobił przerwę w leczeniu. Musiał odpocząć. Dotknął już wiele tysięcy ludzi. Był wyjątkowy upał. Osób bez „numerków” nagromadziło się bardzo wiele - to był efekt działania w niemal centrum wielkiego miasta. Znowu rozdałem wszystkie wejściówki.

Przypomnieli mi się dziarscy staruszkowie od cytr. Popatrzyliśmy na siebie z jednym z „ochroniarzy” i rozumiejąc



niespełnienie. Co tu dużo gadać - zdradziłem ją i wszystko szlag trafił. A miłość zamieniła się w nienawiść. Odi et amo - to chyba z Horacego.

\*\*\*

- Dobrze, powiedz księdzu, że mogę kierować porządkowymi - odpowiedziałam Justynie.

I tak zostałem szefem służby u Mistrza. Mistrz był drobnym mężczyzną. Bodaj Anglikiem. Podobno leżał kiedyś w szpitalu i wszyscy w jego sali wyzdrowieli. Od tamtego wydarzenia zaczął leczyć ludzi. Mówiło się, że do Polski trafił za sprawą generała, który miał chorą matkę. Transakcja była jakoby wiązana - Mistrz leczył matkę, a Wielki Oficjal pozwolił na leczenie ludzi w kościołach. I zaczął się festiwal. Justyna była jedną z jego gwiazd.

Przegadałem z nią wiele dni i nocy, ale dla mnie była to po prostu przyjaźń. A jak było dla niej? Obawiam się, że nie tak to odczuwała. Nie dopuszczałem do siebie innej myśli, ale podświadomie czułem, że jest chyba inaczej. Nie chciałem, żeby było inaczej. Nawet teraz boję się prawdy. Prawdy, że nie ma przyjaźni między kobietą i mężczyzną. Chyba, że się kochają.

Pierwszy raz stałem jako „ochroniarz” Mistrza na bramie pewnego franciszkańskiego klasztoru i pilnowałem porządku. Uśmiechałem się, gdy musiałem pobiec do WC do pomieszczeń zakonników. W kabinach wisiły rolki czegoś, co bliższe było papierowi kredowemu niż ideałowi miękkości. Podejrzewam, że to były taśmy do jakichś urządzeń obliczeniowych, które znalazły... inne zastosowanie. Zdecydował kształt i rozmiar

się bez słów, poszliśmy do kościoła, gdzie koło ołtarza stała skrzynka, do której wrzucano „zużyte” „numerki”. To był jakiś zadziwiający cud - we wnętrzu świątyni nikogo nie było! Tylko wielki aluminiowy Chrystus spoglądał na nas w otoczeniu Apostołów przyjaźnie znad ołtarza.

Wyciągnęliśmy mnóstwo „numerków”. Może nawet ze sto. I puściliśmy w ponowny obieg. Powiedziałem o tym Justynie. Wściekła się. Dla niej ważniejszy okazał się Mistrz od chorych ludzi.

- Kradniesz w kościele - wydzierała się na mnie.

Chyba milczałem.

Nie wstydziłem się tej kradzieży. Byłem dumny, że robię coś dobrego dla ludzi. Może im pomagałem, a może tylko dawałem nadzieję, ale nie odprawiałem z niczym, jak kiedyś braci cytrzystów.

Powoli wszystko zbliżało się do końca. Już nie mieliśmy dublowanych wejściówek. Przed kościołem stała grupa zdesperowanych ludzi. Może 20 - 30 osób. Chciałem ich wpuścić bez niczego, ale pojawił się ksiądz. I... kazał mi zawrzeć kościelne drzwi. Odmówiłem. Wyszedł na chwilę. Zdążyłem oddać swój identyfikator i opaskę jakimś obcym ludziom, którzy weszli do środka, jako obsługa. Po nadzieję do Mistrza. Chwilę później Ksiądz z kilku mężczyznami zaczął zamykać kościół. Zdenerwowani ludzie rzucili się na drzwi. Stałem na zewnątrz pod kolumnadą. Jakaś brunetka tłumaczyła mi, że jej matka jest chora i musi się dostać do Mistrza. Tłumek naparł na wpuść zamknięte odrzwia.

Mężczyźni z księdzem próbowali je zatrzaskać. Tłumek blokował. Część służby porządkowej została na ze-

wnątrz i oniemiała patrzyła na idiotyczną i niepotrzebną scenę. Chwyciłem za rękę dziewczynę, która ciągnęła za sobą matkę. Dociągnąłem je do uchylonych jeszcze drzwi i... matkę ktoś odepchnął. Wylądowałem w kruchcie z brunetką, która wpadła w rozpacz. Ksiądz zapierał drzwi przed szturmującą grupą ludzi. Poszły w ruch kamienie. Stałem i patrzyłem na zamknięte skrzydła i słuchałem melodii brukowców wystukujących rytm na ich zewnętrznej stronie.

Ktoś powiedział Mistrzowi co się stało. Dokończył leczenia ostatnich ludzi i... powiedział, że ma jeszcze dużo siły, że mógłby dalej leczyć. Ksiądz nie zgodził się. Stałem z boku nawy, bez opaski i identyfikatora. Prywatnie. Odpływałem w inny czas, bo ten się dla mnie właśnie skończył.

Mistrz podobno powiedział, że więcej nie przyjedzie do Polski, że woli leczyć w Afryce dzikie zwierzęta.

- Jezu! - myślałem z rozkwitającą goryczą pod koszulą. - Jezu! To przecież nie tak.

Ciemne wnętrza kościoła otulało litościwie moje zdziwienie.

\*\*\*

Kilka miesięcy temu Mistrz podobno był w małym miasteczku w centrum naszego kraju w jakimś Domu Kultury. Uzdrawiał.

Mistrz. Mój wielki Mistrz. Czy ktoś go jeszcze pamięta? Ja pamiętam wstyd.

**Miroslaw Pisarkiewicz**  
**Sieradz**



*Głos w mojej głowie podpowiadał mi: „Poczekaj! I naucz ją wszystkiego od nowa, a przypomni sobie to, jaka kiedyś była. Nie ufa, to przez to, że nawet słońce dla niej jest zimne”*

# miłość

Jesteś tym, czego szukałem. Światłem w tunelu, którym jest życie. Rozświetlasz najciemniejszą drogę, którą niestety muszę przejść. Przy tobie czuję, że jestem. I dziękuję, że wybrałaś mnie, abym nauczył się znów czuć coś więcej niż ból. Jesteś kobietą, której szukałem. Kobieta z sercem dziecka, a duszą anioła. Nie ma na świecie piękniejszego kobiecego połączenia. Jesteś ideałem, ale nie wizualnym, lecz duchowym. Każdy dzień spędzony u twojego boku sprawia, że staję się innym człowiekiem, a gdy widzę, jak starasz się okazywać radość, cieszę się, bo widzę, jak bardzo pragniesz być szczęśliwa.

Dziękuję, że mogę widzieć, jak się zmieniasz. Jak rozkwita twoje serce, jak ocieplasz je każdym dobrym gestem skierowanym do drugiego człowieka. Nie każdy potrafi podać rękę największemu wrogowi i zapomnieć każdy ból, jaki zadał ci ktoś inny. Chcesz znów być dobra, znów rozśmieszać ludzi, którym pozostało nic innego, tylko płakać. Kiedy cię poznałem, byłaś dzieckiem opuszczonym i zniechęconym



nym przez świat. Nie miałem cierpliwości powtarzać bez końca: „uspokój się”. Ty nawet, nie wierzyłaś w to, jaka byłaś. Wmawiałaś ludziom, że nigdy nie byłaś dobra, że to nie byłaś ty. Lecz głos w mojej głowie podpowiadał mi: „Poczekaj! I naucz ją wszystkiego od nowa, a przypomni sobie to, jaka kiedyś była. Nie ufa, to przez to, że nawet słońce dla niej jest zimne.”

Przeżywałem ciężkie dni. Ciężkie dni razem z tobą. Traciłem zmysły. Lecz serce mówiło: „Wytrzymaj”. Aż któregoś dnia, kiedy zadzwoniłaś, zapraszając mnie na obiad, usłyszałem w twoim głosie dziwny spokój. Pozwoliłaś sobie nawet zaśmiać się. Kiedy odłączyłaś się, przez moment pomyślałem, czy to byłaś ty, czy to było złudzenie. Myślałem, że zwariowałem. Szykowałem się, czując niepokój. Poczutem zapach czerwonych róż..., zapach, który czułem zawsze w twoim

pokoju. Uśmiechnąłem się i pomyślałem, że chyba się udało, chyba cierpliwość do ciebie, to pierwsze, czego człowiek musi się nauczyć. Idąc do ciebie, kupiłem czerwone róże. Kupiłem ich tyle, ile ty masz lat i czekoladki, twoje ulubione. Zdziwiłem się, ponieważ napisałaś, że wyjdiesz po mnie. I znów przeżyłem szok. Ponieważ miałaś zrobić coś dla mnie. Kiedy byłem już blisko twojego domu zobaczyłem postać, szła w moim kierunku. Nie poznałem cię. Już z daleka uśmiechała się do mnie tak, jak nigdy...

Zobaczyłem jaka jesteś piękna. Patrzyłaś na mnie, ciągle się uśmiechając, a ja im bliżej ciebie byłem, tym mocniej biło moje serce. Czułem się tak, jakby miało wyskoczyć z mojego ciała. Nigdy nie widziałem, aby ktoś się tak uśmiechał. Zacząłem płakać. Kiedy zobaczyłaś, że płaczę, przybiegłaś do mnie i wtuliłaś się we mnie. Płakałem. Spojrzałaś mi w oczy, wytarłaś mi łzy i powiedziałaś: „Dziękuję, że wytrzymałeś i przepraszasz, że teraz zamiast cieszyć się razem ze mną, ty płaczesz.”

Przytuliłaś mnie i uspokoiłaś. A ja wreszcie mogłem powiedzieć, że płaczę ze szczęścia, bo najpiękniejszą radością jest nauczyć najpiękniejszego z aniołów kochać. Kochać tylko mnie.

\* \* \*

W moim sercu dzieje się coś, czego nie jestem w stanie pojąć. Zanika bicie, a rytm jest mi nieznany. Czuję, że serce

umiera z tęsknoty za twoim, które jeszcze chwilę wcześniej biło tylko dla mnie. Mój oddech coraz wolniejszy, duszę się od własnego oddechu. Łzy z oczu płyną tak szybko, że poduszka cała mokra od moich łez. Usta nadal czują smak twoich ust, pragnąc znów całować twoje, tęsknią za ustami, które jeszcze chwilę wcześniej uśmiechały się do nich. Moje ciało przeszywa dreszcz taki nieznany, taki zupełnie inny, przeszywa ciało, zadając ból. Moje ciało cierpi, tęskni za twoim, które jeszcze chwilę wcześniej przytulało je twoimi ramionami. W mojej głowie miliony pytań, a odpowiedzi odległe i niezrozumiałe. Tak jakby nikt nie potrafił odpowiedzieć. Gdy tak leżę, zaczynam rozumieć, co się stało... jak bardzo cierpi moje ciało bez ciebie. Jak bardzo życie jest smutne bez twoich rąk, twoich ust, bez twojego uśmiechu. Wszystko to boli. Odszedłeś. Teraz tylko pozostały wspomnienia naszych wspólnych dni, naszego wspólnego życia. Bez ciebie jestem jak rzeka bez wody, jak dzień bez światła, jak noc bez gwiazd, jak rodzina bez domu. Nie potrafię istnieć. Każdy dzień jest tylko dniem, którego nie potrafię przeżyć. Kiedy tak leżę zaczynam rozumieć: odszedłeś, a ja sama w morzu łez wtulona w poduszkę próbuję zapomnieć, lecz serce moje nie pozwala wymazać ciebie z pamięci. Ponieważ, gdy się kogoś kocha tak mocno, trudno jest zapomnieć... Nawet gdy tej osoby już nie ma, serce bije dla niej innym rytmem. Rytmem tęsknoty i udręki. Taka jest miłość...

*Agnieszka Klekociuk, Możdzanowo*

W polskich, pomorskich klimatach zakochał się „po uszy” Adras Asztalos - ekspert ds. polskich, znawca muzyki współczesnej, magister ekonomii. Od ponad czterdziestu lat do dziś związany z naszym krajem, pełniąc ważne funkcje (m.in. pracownik Ministerstwa Spraw Zagranicznych Węgier, sekretarz, później radca polityczny Ambasady Węgierskiej w Polsce). Pracując na stanowisku wicedyrektora departamentu MSZ w Budapeszcie zajmował się Polską oraz dwustronnymi relacjami Polska-Węgry. Zdradził się, że chce kupić w Polsce dom i zamieszkać u nas, w okolicach Słupska, na Pomorzu, ponieważ pokochał ten zakątek naszego kraju.

Swoją obecnością zaszczycił zebranych Ákos Engelmayer z małżonką, były powstaniec węgierski (Powstanie Węgierskie 1956 r.), pierwszy ambasador Republiki Węgierskiej w Polsce, etnograf, dziennikarz, tłumacz, wykładowca Wyższej Szkoły Humanistycznej w Pułtusku. To kolejny Węgier zakochany w naszym kraju i nie tylko, również w Polsce. Miłość ta od 1962 roku scementowana małżeństwem trwa do dziś.

Podczas tego niecodziennego spotkania poruszano bardzo ważne tematy. W przemiłej, wręcz nostalgicznej atmosferze poznaliśmy kilka ciekawostek, wspomnień z kart historii, obyczaju, życia prywatnego. Poetów bardzo poruszyły łzy wzruszenia pana ambasadora, pasja i wiara. Podczas dyskusji tematem przewodnim były katyńskie wydarzenia, te sprzed kilkudziesięciu lat i najnowsze. Z taką samą boleścią opisywane i przeżywane przez obie strony. Zebrani dzielili się swoimi doświadczeniami. Literaci opowiadali o swoich przygodach na Węgrzech, pierwszych miłostkach. Nie zapomniano o poezji, tak bliskiej nam piszącym, ale i naszym sympatycznym gościom. Mielśmy możliwość podzielenia się osiągnięciami Grupy, wręcz mogliśmy się pochwalić przed paniami Elżbietą Cygielską, dr nauk humanistycznych, wykładowcą w Katedrze Hungarystyki Uniwersytetu Warszawskiego, popularyzatorką i tłumaczką literatury węgierskiej, jak też Anną Górecką - również popularyzatorką i tłumaczką literatury węgierskiej, hungarystką i redaktorką „Literatury na Świecie”.

Przed tak szacownymi gośćmi z ogromną przyjemnością swoją poezją podzielili się poeci „Wtorkowych Spotkań Literackich” - Emilia Zimnicka, Henryka Jurałowicz-Kurzydło, Aldona

## Łzy wzruszenia

*o swojej słabości do naszej pięknej ojczyzny opowiadali węgierscy goście podczas spotkania w słupskim starostwie z poetami z Grupy „Wtorkowe Spotkania Literackie” - w ramach zorganizowanych Dni Kultury Węgierskiej*



Peplińska, Iwona Sławecka, Maciej Michalski, Piotr Grygiel.

Do łez wzruszył swoją wypowiedzią byłego ambasadora dziennikarz i poeta, Jerzy R. Lissowski ze Słupska, przypominając wydarzenia sprzed ponad pięćdziesięciu lat...

*Aldona M. Peplińska, Motarzyno*



# wioletta pniewska

## - miastko

*Urodziłam się i mieszkam w Miastku. Debiutowałam w „Gazecie Miasteczkiej” (już nie istniejącej) w sierpniu 1989 roku. Następnie moje wiersze były wydane w zbiorowej antologii poezji miłosnej pt. „Suita na splecione dłonie”, która ukazała się w Wydawnictwie MAK w Szczecinie w 2001 roku. Od tamtej pory moje wiersze nie były nigdzie publikowane.*

### KRYZYSOWE CZASY

Są we mnie martwe miejsca  
zimne sekundy  
beźradność czasu

nawet słowa wpadają  
w kryzys pustych znaczeń  
bezrobocie  
beźdomni  
coraz więcej

mętlik w głowie

czym zapłacić  
za co kupić  
jak być  
sobą

### W OBJĘCIACH ŚMIERCI

łamiący krzyk szpitalnej sali  
zimny pot

stróżki krwi  
związują ciało  
dręczą myśli

Boże –  
gdzie odchodzisz?  
wzywam po imieniu

pochylony między mną  
a nimi  
coraz dalej i dalej  
już tam

### LIST DO STWÓRCY

oderwana od czasu ziemskiego  
w promieniach słońca  
na piasku  
zanurzam się  
w ciszy  
w myślach  
Każdą rzecz oddaję Tobie

wypełniam się

w złotym kielichu  
Twoje zmartwychwstanie

powracasz  
by uwolnić z grzechu  
i dać skrzydła anioła  
ufam



# katarzyna nazaruk

## - słupsk

*Absolwentka filologii polskiej i bibliotekoznawstwa w Pomorskiej Akademii Pedagogicznej w Słupsku. Obecnie nauczyciel języka polskiego oraz bibliotekarz w Zespole Szkół Ponadgimnazjalnych nr 4 w Słupsku i w Szkole Podstawowej w Bierkowie. Laureatka wyróżnienia w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. M. Stryjewskiego w Łęborku (1992), wyróżnienia i III miejsca w Międzynarodowym Konkursie Poetyckim „Wąglany” (1993, 2009), I miejsca w I Konkursie Poetyckim dla Nauczycieli w Słupsku (2010).*

### GORYCZ

Skrzywdzona  
przez brata  
na fali egoizmu  
dowódcę buty i oportunistę  
W oparze goryczy  
gryziesz codzienność  
Dobroć z daleka  
jak pies  
zawodzi  
Matrix telewizyjnych  
mediatorów

nie pomoże  
skleić  
techniką kolażu  
porcelanową delikatność  
Tożsamości

### W MIŁOŚCI NIE MA STANU CONSTANS

W miłości  
nie ma stanu constans  
Raz rozkoszujesz się  
wyrafinowanym smakiem potraw

Kiedy indziej  
z glinianego talerza  
zgamiasz okruchy  
Próbujesz wskrzesić Łazarza  
Już wiesz  
gdzie szukać  
liczby Pi  
dostojnie trwałej i niezłomnej  
We wspólnych lat obliczeniach  
W ogromie małżeńskich strat  
Połaciach startego wzajemnie  
naskórka uczuć  
W ilości naszych wzruszeń